Nr. 24. Warszawa, dnia 3 (16) Czerwca 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów kwartalnych i półrocznych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

NOWA FLAGA.

Dnia 6 b. m. zebrała się austryacka Rada państwa, nad ranem d. 9 b. m. już jej nie było. Pulpity — nowoczesna broń sejmowa — sprowadziły jej zamknięcie. Tym razem użyli tej broni Czesi, i mogą sobie powinszować, że użyli skutecznie. Przez całe trzy dni taktyka tamowania obrad sposobami używanymi przez żaczków szkolnych, lub coraz to nowemi żądaniami głosowań imiennych, na chwilę nie ustawała; pod siarczystym ogniem takiej wymowy parlamentarnej rząd kapitulował. Po dniu najgorętszym, a przypadł on 8 czerwca, utracono w rządzie wszelką nadzieję wydobycia się z tej jamy, którą sobie każde stronnictwo wykopać może, jeśli ma tylko za sobą powagę liczby, tj. dość fizycznej siły, gardzieli i rąk, aby grubym fizycznym hałasem i nieładem — zatamować czynność czysto umysłową, jaką w założeniu jest, a w wykonaniu być powinna, wszelka praca prawodawcza. W nocy d. 8 p. Goerber, nie widząc innego ratunku, z posiedzenia pojechał do Burgu, przekonał cesarza na gorąco o konieczności wstrzymania dalszych obrad, wyjednał dekret, zamykający, a nie tylko odraczający XVI sesyę Rady państwa — i po północy z d. 8 na 9 nie było już Izby.

Stało się to, co wróżono rządowi, który przyszedł po p. Badenim: niepodobna wytrzymać z Czechami przeciw Niemcom, nie można rządzić z Niemcami przeciw Czechom. Czesi odpłacili w czerwcu 1900 r. Niemcom to, czego od nich doznali w październiku i listopadzie 1897 r. Taki sam skutek miało odwołanie rozporządzeń p. Badeniego-Gautscha, jak ich wydanie. Samo dotknięcie się sprawy językowej przez rząd czy przez Izbę sprowadza wojnę domową parlamentarną, a jako jej skutek— martwotę prawodawczą. Gdy się rozbiła konferencya między Niemcami a Czechami, w którą nikt nie wierzył, gdy przedtem porozumienie się bezpośrednie w sejmie praskim okazało się kwadraturą koła — nie pozostało nic, prócz bezwładności: ona jedna tylko pozwalała spodziewać się znużenia Niemców — jedynego ocalenia, jakie dawał zamęt. Rząd wyszedł z bezwładności, odwołał rozporządzenia i dopiął tylko tego, że wiatr, zamiast wiać z prawej strony, wieje z lewej. A zawiał teraz tak, że chyba wywróci do reszty ten parlamentaryzm, który sami powołani do korzystania z niego podkopali. § 14 okazuje się rzeczywistem konstytucyjnem prawem, stalszem, pożyteczniejszem i skuteczniejszem od innych. Dzięki jemu Austrya może istnieć jako państwo, ma rząd, ma moc, ma środki niezbędne do funkcyj państwowych.

P. Goerber zamierza — jeżeli wogóle będzie jeszcze mógł coś zamierzać—na mocy § 14, wprowadzić to samo urządzenie stosunków językowych w Czechach, które w Izbie właśnie pobudziło przedstawicieli Narodu Czeskiego do całej ich obstrukcyjnej kampanii. Ktokolwiekby taki pomysł powziął i ktokolwiekby go wykonał, zgrzeszyłby ciężko przeciwko Austryi, przeciwko jej przyszłości, na którą przecież nie wolno już teraz robić zamachów eksperymentalnych. Taka droga byłaby tylko drogą powolnego rozkładu państwa austryackiego, przedlitawskiego. Jest jeden radykalny, logiczny i zarazem w samym już zarodzie dzisiejszej organizacyi tkwiący środek ratunku — federalizm. Jeśli ani cesarz austryacki nań się nie odważy, ani austryaccy mężowie stanu nie dostrzegą jedynego w nim wyjścia z dzisiejszego bezjutra do trwale a mocno zbudowanej przyszłości, jeżeli wreszcie nad tą myślą, tym systemem, dziwnie lekceważonym od lat 30, rozległo się już najstraszliwsze słowo, jakie człowiek usłyszeć może: zapóźno!— istnienie Austryi zapewnić może tylko dyktatura cywilna lub wojskowa już nie tego lub owego paragrafu, ale jakiegoś silnego człowieka, jakim Franciszek Józef już być nie może, jakim pierwszy lepszy być nie powinien. Państwo, jako idea poruszająca umysły, pojęcia i wolę, mając wybierać pomiędzy prawami swemi a prawami tej lub owej narodowości, namyślać się nie będzie: wybierze swoje prawa, a z niemi i siebie. Jest to prawo życia: przedewszystkiem żyć trzeba.

Gdyby same narodowości składające Austryę nie zdobyły się na taki dogmat i nie wydały go z siebie jako zasady praktycznej dla wzajemnych stosunków; gdyby w chwili ciężkiej próby wspólny byt w jednem państwie nie okazał się im dobrem bezwzględnem, zasługującem na bezwzględną też obronę — musiałby je wyręczyć jeden jakiś człowiek dobro to odczuwający i do obrony tej gotowy. W żadnym razie stan dzisiejszy nie może być stanem trwałym: niepodobna żyć w kotle z kipiącym wrzątkiem. Stronnictwa czy narodowości, myśląc o prawach własnych, myśleć powinny i o prawach tego ogromu, do którego należą, jeśli chcą jego dalszego istnienia i nie mają już zbudowanych domków pewnych na nowym jakimś gruncie.

Przy federacyi myślenie takie, przejawiające się w stałej trosce o byt wspólny, byłoby wytworem samej organizacyi politycznej; przy dzisiejszym ustroju państwa przedlitawskiego musi wyjść z samodzielnej pracy rozumów ludzkich, a wiadomo przecież, że jeśli samych rozumów jest niewiele na świecie, mniej jeszcze jest w nich samodzielności. Wielkiej nadziei ocucenia się, otrzeźwienia mieć nie można. Świeżo Wolff jawnie kopnął państwo austryackie i rzucił się w objęcia Niemiec.

Tydzień polityczny. W Przedlitawii zamknięcie sejmu wiedeńskiego d. 7 b. m. p. Jaworski na naradzie prawicy stwierdził jej rozbicie. Czesi piorunują, i mają słuszność, bo chociażby nawet p. Jaworski prawdę myślał, jako politykowi nie wolno mu było myśleć głośno. Jeśli tacy są wodzowie, jacyż muszą być żołnierze! Rzeczywiście niema już Izby, ale niema i prawicy. Rząd skorzystał z tego i formuje nowe stronnictwo, nowy aglomerat, a p. Jawórski z żołnierzami swymi uczestniczy w tej operacyi! Podobno p. Jaworski ma na jesieni zostać członkiem Izby panów — o parę lat zapóźno. Tak się mści sam człowiek na swoich dobrych popędach, gdy nie ma do nich odwagi jaką daje tylko dostrzeżenie jednej rzeczy dobrej wśród mnóstwa złych, obranie jej, trzymanie się jej z wiarą i wytrwałością — cały ten kapitał zasad i ideałów, bez którego w polityce, gdy się niema na zawołanie bagnetów, można być tylko lichym faryniarzem lub starą kokietką, podającą róż za rumieniec. Gdy stronnictwa z rozbitej prawicy posądzają Czechów o układanie się za ich plecami z rządem — jest w tem tylko niedorzeczność, ale gdy Czesi obwiniają Galicyan o chęć sprzedania się Niemcom za ochłapy jakiejś samodzielności, czy wydzielności — jest już prawdopodobieństwo.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

UNIWERSYTET KRAKOWSKI.

Wspomnienie.

I.

Kraków obchodził d. 7 czerwca jedno z najwspanialszych świąt, jakie człowiek zbiorowo żyjący mieć może: pięćset lat istnienia Uniwersytetu Jagiellońskiego, który przez cały długi swój żywot w Rzeczypospolitej najpowszechniej i najstalej nosił nazwę „Akademii Krakowskiej." Pięćset lat uniwersytetu to zaszczyt rzetelny i sprawiedliwa duma: to klejnot szlachecki całego społeczeństwa — nadany mu przez cywilizacyę. Nie można przesadzić w radości, gdy się taką rocznicę obchodzi, nie można nie podzielić się nią ze światem całym. Pod obu tymi względami dzisiejszy ster uniwersytetu uczynił raczej za mało, niż za wiele. Radości swojej nie dostroił do wysokiego tonu tego szczęścia, jakiem darzy światło, a do uczestnictwa w niej nie wezwał wszystkich potęg sobie współrzędnych: nie umiał być dobrym, przyzwoitym kolegą. Zapraszając jednych, zawiadamiając tylko innych, czynił to z krzywdą własną i nie bez ujmy dla całego społeczeństwa. Nie umiał skorzystać ze sposobności i do pewnego stopnia ją zmarnował. To zaproszenie tylko niektórych, dla braku miejsca — jest czynem małości, którą dopiero oddalenie się od wypadku w całej jaskrawości ukaże. I w mowach też uniwersyteckich nie było tego wyniesienia wiedzy, oświaty, nauki na wyżyny, na których je miłość szczera w chwilach tak uroczystych widzieć była powinna. Ściga nas jakiś nieszczęście. Nawet czyniąc dobro, jeszcze robimy je źle.

Ale co ludzie małością swą, jakąś sztywnością ducha i skąpstwem, zepsuli, to naprawiło samo pojęcie pięciuset lat przeżytych przez instytucyę. Pojęcie to narzucało się umysłom, tak przemożnie, że ono to właściwie rządziło obchodem, a nie zbiorowa wola uniwersytetu, czy też jednostkowa wola — rektora. I dzięki temu może obchód wypadł świetnie i ostatecznie z tą świetnością swoją wewnętrzną, ideową przejdzie do pamięci ludzkiej. Prócz osobistych i telegraficznych życzeń — złożono dawnej Akademii nie jeden trwalszy a poważniejszy dowód umysłowego zespolenia się z wiekopomną rocznicą. Święto uniwersytetu dało podnietę do poważnych badań, których owoce, ilością swą imponujące, jakością zapełniły w znacznej mierze dotkliwy brak dzieł historycznych o szkołach wyższych. Sam Uniwersytet nie mógł nie skreślić historyi tej dostojnej macierzy, z której powstał; dwutomowe dzieło dr. Kazimierza Morawskiego niezawodnie wzbogaci literaturę historyczną w dziale oświaty.

Początki Akademii dzisiejszym naszym oczom przedstawiają się w mgle niepewności, sprzeczności i ostatecznie — niewiedzy. Rękopisy Radymińskiego z XVII w., opisane przez Muczkowskiego, objęte spisem Wisłockiego *(Codex)*, mówią, bez dowodów wszakże, o sprowadzeniu przez Kazimierza Wielkiego w roku jeszcze 1337, trzech filozofów i trzech prawników z Francyi do Krakowa dla założenia tu wyższych studyów. W historyi prawa polskiego występuje w samej rzeczy jako podanie poważne, fakt pośredniego uczestnictwa prawoznawstwa z Europy zachodniej w opracowaniu statutów, składających całość prawodawstwa kazimierzowego. W roku pierwszego statutu Wiślickiego, prawnicy sprowadzeni do Królestwa mieli otrzymać własną siedzibę na Bawole, późniejszym Kazimierzu, filozofowie zaś tulili się do szkoły przy Pannie Maryi. Co robili jedni i drudzy — i czy prowadzili jakiekolwiek *studya*, choćby najprzelotniejsze? Chyba nie. Świadectwo Długosza o Akademii już w r. 1361 — jest lekkiem; wykazał mu to Wiszniewski. Rzeczywiste założenie przypadło dopiero na Zielone Świątki w r. 1364, dzień 12, a nie 31, maja. Tę datę nosi akt majestatyczny Kazimierza, wydrukowany po raz pierwszy przez Wiszniewskiego („Hist. Lit. Polskiej," T. II, str. 249—255).

I znowu pytanie: był akt, ale czy było owo *studium generale*, jak nazywano wówczas uniwersytet w dzisiejszem naszem pojęciu, nazwę *universitas* zachowując dla samej tylko korporacyi nauczycieli i uczniów? Czy zajaśniała już odrazu owa „perła" północy, dla której król - cywilizator spodziewał się napływu „nietylko wszystkich królestwa tego mieszkańców, ale i innych z różnych stron świata?" W wątpliwości samej jest już zaprzeczenie. Stan Akademii po r. 1364 był stanem zalążkowym: kwiat się nie rozwinął, bo go zmroziła obojętność, której winę wraz z innymi dźwiga niezawodnie i sam założyciel. Obchodzona w r. 1864—skromnie, wspomnieniami w czasopismach, a na ich czele w „Czasopiśmie" prawnem rocznica 500-letnia była raczej pamiątką samego aktu erekcyjnego, niż erygowanej instytucyi. W każdym razie ten pierwszy Uniwersytet krakowski kazimierzowy rzeczywiście istniał, ale głównie jako szkoła prawa. Mieścił się na Bawole przy kościele św. Wawrzyńca. Miał ośmiu profesorów prawa, a prócz nich jeszcze dwóch profesorów medycyny i kilku nauk wyzwolonych (*artistae* wydziału filozoficznego), ci jednak mieszkali i nauczać musieli osobno. Nie było teologów, bo Urban V, zatwierdzając ustawę, teologię wykreślił.

(C. d. n.)

W ojczyźnie Boerów.

V.

W zupełnem przeciwstawieniu do gorączkowego Johannesburga znajduje się senna Pretorya, stolica polityczna kraju, założona czterdzieści kilka lat temu, a od r. 1863 siedlisko rządu. Miasteczko liczące dwanaście tysięcy mieszkańców (8,000 białych), leży w ciepłej dolinie, trzydzieści mil na północo-wschód od Johannesburga, ze wszystkich stron otoczone gajami drzew gumowych i soczystemi łąkami. Z niewysokich pagórków, ubranych od r. 1896 w uroczyste dyademy baterji armatnich, roztacza się piękny widok na okolicę. Ulice są szerokie, zupełnie pierwotne, domy nieprawidłowo zbudowane i nieestetycznie rozrzucone, tylko pałac rządu, w którym zasiada Volksraad, odznacza się bogactwem i wspaniałością architektury (kosztował 200,000 funt.). O ile Johannesburg jest angielskim, o tyle Pretorya *nie* jest holenderską, jakkolwiek mieszka tam dużo Boerów i Holendrów i słyszy się bezustannie język holenderski na ulicach. Pretorya nie posiada wcale przemysłu, a jej obroty handlowe są niezmiernie nikłe, jest ona właściwie siedliskiem administracyi i sądu, rzecz dziwna tylko, że wszyscy adwokaci są pochodzenia angielskiego; jest to bądź żywioł napływowy z Anglii, bądź też z Kaplandu. Spory sądowe pomiędzy towarzystwami kopalnianemi w Johannesburgu są niezmiernie liczne i cała ulica, zwana „Sępiem gniazdem," zajęta jest przez kancelarye obrońców. Adwokaci i sędziowie stanowią inteligencyę Pretoryi. Podróżnik odczuwa wiele rozkoszy, przebywając w towarzystwie tych kół, napotykając tam tylu rzeczywiście zdolnych i oczytanych ludzi. Johannesburg zawiera całe bogactwo i połowę białej ludności Transwalu, kraju tak dużego jak Wielka Brytania. Pretorya i pustynie na północy, wschodzie i zachodzie obejmują pozostałą część ludności i korzystają z całkowitej władzy politycznej kraju. Wprawdzie inteligencya mieszka w Pretoryi, będąc atoli ludnością napływową, pozbawiona jest wszelkiej powagi politycznej, praw wyborczych itd.

Prezydent Krüger zamieszkuje dom, który otrzymał w podarunku od rzeczypospolitej, nieróżniący się niczem od innych. Otrzymuje 70,000 rubli pensyi, prócz t. z. dodatkowych pieniędzy na „kawę," tj. na reprezentacyę.

O prezydencie krążą zazwyczaj w prasie europejskiej najróżnorodniejsze opowieści, bardzo często wkraczające w dziedzinę humorystyki.

Rzecz ma się trochę inaczej. Krüger jest doskonałem uosobieniem natury Boera w złem i dobrem znaczeniu, przyczem niektóre najbardziej charakterystyczne rysy przyjmują formę karykaturalną. Każdy, kto przyjeżdża do Pretoryi i rozmawia z Krügerem, przygląda się jego milczącej twarzy z fajką w ustach, z których zrzadka śród kłębów dymu wychodzą sentencye biblijne, ten zastanawia się nad pytaniem, kto zacz jest ten starzec. „Czy to pobożny patryota, żołnierz, myśliwy, farmer, pchany okolicznościami nagłemi a niespodzianemi ku zagadnieniom wyższej polityki i przystosowujący swoją sprawną, chłopską naturę do sideł dyplomacyi, gdy chodzi o uratowanie ojczyzny, czy też jest to chytry, stary hypokryta, który wygodnie,

KRONIKA POZNAŃSKA.

Twierdza hakatyzmu i nasza reduta. — Sprzedawczycy i opinia publiczna. — Wystawa poznańska i jej cele. — Ocena robotników wiejskich ze stanowiska przedsiębiorcy. — Litwini.

„Landbank“ przystępuje do nowej emisyi akcyj za pięć milionów marek i obligacyj 4½% na dziesięć milionów marek. Fakt to niezmiernie doniosły i żywo obchodzący ludność polską, gdyż takie wzmocnienie finansów potężnej instytucyi równa się wystawieniu nowych oddziałów żołnierzy podczas wojny. Landbank, jak wiadomo, jest warownią hakatystów, z której rozpuszczają oni swoje hufce zaborcze po całym kraju. Dlatego warto się przyjrzeć rozwojowi i siłom tej instytucyi. Istnieje ona zaledwie pięć lat (od r. 1895), a powstała, jak wiadomo, dzięki zabiegom filarów hakatyzmu, milionerów Hansemanna, Kennemanna i Tiedemanna, pobudką zaś było to przeświadczenie, że komisya kolonizacyjna nie odpowiada celowi właściwemu, gdyż kupując majątki od Polaków, niesie im pomoc, ratuje w chwilach krytycznych.

Owocem tych rozumowań i protestów jest Landbank, któremu nadano następujący zakres działalności: Nabywanie i sprzedaż dóbr nieruchomych w granicach Rzeszy Niemieckiej, na rachunek własny i obcy. Urządzanie i prowadzenie gospodarstw rolnych, albo wydzierżawianie ich. Tworzenie i kolonizowanie włości rentowych z dóbr własnych lub na rachunek obcy. Wreszcie prowadzenie i załatwianie wszelkich innych spraw, mających ścisłą łączność z gospodarstwem rolnem.

Jakoż rozporządzając dużym kapitałem, bank rozpoczął w tym zakresie swoją działalność na wielką skalę w Poznańskiem, w Prusiech Wschodnich i Zachodnich, na Pomorzu, a nawet w Saksonii i Brandenburgii. Posiadał on najzupełniejszą swobodę, co mu dawało możność do wielkich i wszechstronnych operacyj. Dzięki temu, od r. 1895 do 1899 nabył 55 dóbr, obejmujących ogółem 174,300 morgów magdeburskich. Z tej ilości ziemi nabytej Landbank do końca roku przeszłego sprzedał 131,000 mor. mag. 1,125 nabywcom; utworzył 709 nowych kolonij i 80 folwarków. W końcu roku przeszłego należności banku na nabywcach wynosiły 16,803,123 marki, umieszczone po 4 i 4½%. Ta właśnie pokaźna pozycya niewątpliwie była przyczyną nowej emisyi. Dodać należy, iż w r. 1897 Landbank już podwyższył swój kapitał do 10 milionów marek.

Wobec tej olbrzymiej warowni stoi skromniutka reduta nasza, zwana Bankiem ziemskim z kapitałem akcyjnym 3,000,000 marek, wzmocnionym za pomocą drugiej i trzeciej emisyi. Ile mozołu, ile pracy, ile zabiegów i sił kosztowało zebranie tego funduszu! W zakresie swoich zrobiła ona bardzo dużo. Tysiąc kilkaset kolonij, to *ilościowo* rzecz drobna, ale jakościowo znaczna.

Walkę z hakatyzmem utrudnia wyzucie się pewnej grupy właścicieli ziemskich z poczucia solidarności i potrzeb narodu. Są to sprzedawczycy, których liczba wzrasta coraz bardziej, pomimo piętnowania w prasie miejscowej. Sprzedaż majątków ziemskich komisyi kolonizacyjnej jest czynem, na który niema słowa hańby.

Niedawno *Dziennik poznański* wyraził swoje oburzenie w sposób następujący: „Przedtem sprzedawali Polacy ziemię kolonizacyi przeważnie ci, co majątkowo zupełnie podupadli lub przez sprzedaż części starali się uratować resztę. Potępiano zawsze te sprzedaże, ale z pewnem wyrozumieniem okoliczności, nieprzedstawiających wyjścia. Dziś nietylko tacy likwidatorowie szukają zbawienia w skarbach kolonizacyi, ale wytworzył się nowy, najwstrętniejszy żywioł „sprzedawczyków,“ którzy dla wygody lub spekulacyi zapominają o obowiązkach obywatelskich, a w każdej chwili gotowi przefrymarczyć ziemię, byle zrobić „dobry interes“ i uciec z kapitałem z ciężkiej areny pracy rolniczej do próżniactwa sromotnego. Mianowicie młodsze pokolenie hołduje w tej mierze zasadom rozluźnionego sumienia. Przyłącza się życie nad stan, wyjazdy do Monaco, u kobiet paryskie strojnisiostwo, hazard, itp. niecnoty, co wszystko oczywiście zmarnować może i największe majątki. Grzmot opinii publicznej niewiele robi wrażenia. Wielu milczy, bo nie wiedzą dnia i godziny, kiedy im w oczy zajrzy widmo kolonizacyi, u wielu cynizm doszedł do takiego stopnia, że drwią sobie z „morałów“ i groźb opinii. Nie brak jednak usiłowań szlachetnych, żeby ratować, co jeszcze uratowane być może. Bywały wypadki, że rodziny zamożne zbiorowemi siłami ratowały zagrożony majątek, odsuwając oczywiście niepoprawnego właściciela od zarządu i wyzyskiwania zaszarganego majątku. Niestety, nie zawsze się to udaje.“

Takie lub podobne żale i kazania najczęściej wygłasza prasa po każdej ucieczce właścicieli ziemskich do kasy komisyi kolonizacyjnej. „Grzmot“ opinii takich panów nie ogłuszy. Na ich miedziane łby trzeba *młota* opinii, któryby istotnie miażdżył sprzedawczyków! Ludzi takich przedewszystkiem powinna się wyprzeć uczciwa część społeczeństwa, odtrącić ich od siebie na zawsze i zupełnie, piętnować dotkliwie na każdym kroku i przy każdej sposobności. Dzieje się inaczej. Z początku oburzenie wielkie panuje, potem słabnie, potem znajdują się okoliczności łagodzące, wreszcie zupełne zapomnienie win i dopuszczenie tych odstępców do grona „porządnych“ obywateli kraju, którzy nawet czasem mają odwagę dawać wskazówki moralne społeczeństwu. Powodem do podniecenia opinii publicznej jest obecnie nowy bohater, niejaki Zygmunt Rożański, który sprzedał wieś swoją Padniewo pod Mogilnem w Poznańskiem komisyi kolonizacyjnej (9,000 morgów).

Między 7 a 12 czerwca w Poznaniu odbyła się wystawa rolnicza, urządzona przez niemieckie Towarzystwo rolnicze „Deutsche Landwirtschafts Gesellschaft.“ Jaki ona ma cel i jakie znaczenie np. dla Królestwa Polskiego? Organizatorowie utrzymują, że chodzi im o zawiązanie bliższych stosunków w celu „wzajemnej wymiany“ płodów rolnych. Pesymiści inaczej na to patrzą — przez powiększające szkła polityki ekonomicznej. Szkła te może nie przesadzają, ale uwydatniają te wszystkie pobudki, które się ukryły w cieniu. Istotnie, jakaż to może być ta wzajemna wymiana wobec natarczywych żądań agraryuszów niemieckich, którzy na pierwszym planie stawiają wysokie cła zbożowe, najdotkliwsze dla Królestwa Polskiego, następnie utrudnienia dowozu mięsa, świń, gęsi itd. Wogóle urządzenie wystawy poznańskiej bynajmniej nie ma na celu zbratania się ekonomicznego z sąsiadami, wyświadczenia sobie usług wzajemnych; nie ma także na celu wykazania istotnego stanu rolnictwa w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, lecz politykę germanizacyjną, która dąży do przekonania świata, że wszystko jest i musi być niemieckie. Dlatego to organizatorowie wystawy bardzo niechętnie i opieszale zapraszali rolników miejscowych, Polaków, bo chcą przedewszystkiem na pierwszy plan wysunąć gospodarstwa niemieckie, a więc wobec świata przedstawić swą przewagę i potęgę, wobec zaś ludności polskiej — siłę brutalną, którąby zabiła wszelką otuchę, nawet śród ludzi czujących w sobie energię i żywotność.

Czy wobec tego warto tak bardzo zachęcać ziemian z Królestwa Polskiego, ażeby brali udział w wystawie pamiątkowej? Przedewszystkiem mogą oni być narażeni

---

miękko usłał sobie gniazdo pierzem wszelakiej korupcyi politycznej i który używa wszelkich zasadzek i fałszów, aby tylko zatrzymać w rękach monopol władzy publicznej?“ *).

Krüger jest zamkniętym w sobie, z zastygłym dogmatem w duszy, chłopem purytańskim. Całymi dniami nic nie mówi. W roku zeszłym przyjmował na audyencyi znanego członka parlamentu angielskiego i na wszystkie zapytania tegoż odpowiadał tylko „tak“ lub „nie.“ Nic dziwnego, że po takich przyjęciach Anglicy piszący o Transwalu grube książki, mają dla Krügera tylko słowa nienawiści i wzgardy. W rozmowie z Hobsonem, znanym autorem „Dziejów kapitalizmu,“ kiedy wojna z Anglią miała lada dzień wybuchnąć, skarżył się, że nie sposób jest zgodzić się na propozycye gabinetu angielskiego. „Zawsze starałem się nakłonić przybyszów, aby pełnili obowiązki obywateli; prosiłem ich, aby wspólnie z nami dźwigali ciężary — naprożno; oni chcą tylko praw, ale bez obowiązków. Ale po za tem czy pan sądzisz, że ta zewsząd nadbiegła hołota johannesburska może pełnić jakiekolwiek obowiązki? Oni zaraz pierwszego naszego obowiązku, obrony kraju od Kafrów, pełnić nie są w stanie.“ Może też Krüger ma trochę racyi: owe ptaki niebieskie uważają Transwal nie tyle za kraj, za ojczyznę, za ziemię, którą kochać można, ile za żyłę złota, które aby prędzej wytopić, a w pierze obrósłszy, uciekać, skąd przyszły.

Uczciwość Krügera niejednokrotnie stawiano pod pręgierzem. Są istotnie pewne dane, zmuszające do zastanowienia się nad jej treścią. Wrogowie zarzucają mu poprostu kradzież funduszów publicznych. Hobson, który starał się pod tym względem zebrać możliwie dokładne informacye, nie zdołał wyrobić sobie ostatecznego poglądu, tak silnie krzyżują się w tym kierunku opinie w Pretoryi. Co do pewnych zarzutów, to wymieniają przedewszystkiem trzy: raz, że od zarządu kolei przyjął i skłonił do przyjęcia innych członków rady — t. zw. prezentów, czyli, mówiąc poprostu, łapówek; powtóre, rola jego w sprawie zmonopolizowania fabrykacyi dynamitu była nader niewyraźna; potrzecie, zarzucają mu dziwny istotnie nepotyzm. Dużą ilością członków swojej rodziny poobsadzał Krüger ważne posady w Transwalu, i tak: Piet Grobler, wnuk, człowiek wielkiej energii, ale małego doświadczenia, zajmuje odpowiedzialne stanowisko podsekretarza stanu i wywiera znaczny wpływ na politykę wyższą. Inny wnuk, Piet Krüger, został bez wszelkich kwalifikacyj powołany na posadę członka najwyższego sądu; jeden z młodszych synów prezydenta oraz często wymieniany jego siostrzeniec, Frickie Eloff, trzęsą zarządem finansów, inny znowu jest nadinspektorem kolei żelaznych, inny wreszcie dowódcą fortecy w Johannesburgu. Widzimy istotnie, że Krüger popiera „swoich.“

Wiele mówiono zawsze o pobożności Krügera. Nic w tem dziwnego. W kraju, który nie posiada własnej wybitnej kultury umysłowej i stoi pod względem intelektualnym na stanowisku, które zajmowali przodkowie Holendrzy i purytanie z czasów Kromwela, interesy religijne muszą zajmować stanowisko dominujące. W ich granicach zośrodkowują się wszelkie za-

*) Idziemy tu za doskonałą charakterystyką J. A. Hobsona w jego najnowszej książce: *The War in South Africa*, 1900.

na nieprzyjemności i szykany. Następnie nie będą mieli ani dokładnego, ani prawdziwego wyobrażenia o istotnym stanie rolnictwa w Poznańskiem, gdyż wystawa, jak rzekliśmy, ze względów politycznych będzie tendencyjną. Kto zaś chce istotnie zapoznać się ze stanem gospodarki rolnej, a raczej z gospodarstwami wzorowemi w Poznańskiem, kto się chce przyjrzeć z blizka wszelkim organizacyom, mającym na celu rozwój ekonomiczno-społeczny, ten może dopiąć celu bez wystawy, tj. poprostu zwiedzić te gospodarstwa i zarazem zapoznać się z ogniskami pracy zbiorowej.

W uwagach niniejszych nie mamy bynajmniej na celu zniechęcania ziemian z Królestwa Polskiego do zwiedzania wystawy poznańskiej. Kto tak bardzo pragnie ją widzieć nie dla powierzchownej ciekawości, ten potrafi skorzystać. Bądź co bądź, na wystawie będzie zjazd ziemian miejscowych — a więc ułatwienie informacyj i wskazówek wszelakich.

Większa znajomość Księstwa Poznańskiego tem bardziej jest pożądana, że ono w znacznej mierze wywiera pewien wpływ na stosunki ekonomiczne Królestwa Polskiego, choćby np. pod tym względem, że przyciąga lub przepuszcza przez swoje terytoryą masy ludności robotniczej wiejskiej. Podobno nigdy ten ruch nie doszedł do tak olbrzymich rozmiarów, jak obecnie. Jednak wielu zarobkodawców lub badaczów stosunków społecznych, wyraża się niepochlebnie o pracowitości robotników z Królestwa Polskiego. Tak np. niejaki Donner na posiedzeniu niemieckiego Towarzystwa rolniczego w pow. Toruńskim wyżej stawia robotników galicyjskich, którzy, zdaniem jego, są przyzwoitsi w stosunku do zarobkodawców, pracowitsi i... skromniejsi w wymaganiach. Robotnik galicyjski stoi wyżej od robotnika z Królestwa Polskiego, tj. przedewszystkiem skromniejszy w wymaganiach, pomimo swej pracowitości, a więc jest najpodatniejszym do wyzysku. Pan Donner nawet nie przypuszcza, że charakteryzując robotników wiejskich, świetnie scharakteryzował cechy przedsiębiorców, których jest typowym przedstawicielem.

W pogoni za tanim robotnikiem zarobkodawcy niemieccy usiłowali w roku przeszłym robić próby z Włochami i Szwedami, ale wynik był niepomyślny. Robotnicy ci „pracują ociężale i mają wiele wad, dających się odczuwać dotkliwie zarobkodawcom." Wszelkie tego rodzaju próby i zestawienia doprowadziły przedsiębiorców do przekonania, że niema, jak robotnik polski. Dlatego też chciwie go poszukują rolnicy zarówno w zachodnich, jak i wschodnich prowincyach pruskich. To też rząd im poczynił pewne ustępstwa, mianowicie pozwolił robotnikom z Królestwa Polskiego i Galicyi pracować w Prusiech przez cały rok, zaledwie z przerwą sześciotygodniową od połowy grudnia do 1-go lutego. Przerwa ta nie pozwala robotnikom na stałe zamieszkanie.

Litwini pruscy ściągnęli na siebie oburzenie hakatystów domaganiem się wykładu nauki religii po litewsku we wszystkich klasach, zaprowadzenia nauki języka litewskiego jako głównego przedmiotu i wreszcie — litewskiej książki do czytania. Żądania te wystosowali oni w osobnem podaniu do rządu, a chcąc zebrać na niem możliwie najwięcej podpisów, wystosowali do ludu odezwę, w której podali między innymi takie motywy: „Naszego pierwszego podania z r. 1891, podpisanego przez dwadzieścia tysięcy osób, nie uwzględniono wcale. Skutkiem podania drugiego w r. 1896, na którem się podpisało już dwadzieścia osiem tysięcy osób, badano nasze życzenia. Król stwierdził, iż dotychczas okłamywano go w informacyach o naszem usposobieniu. Otóż trzecie podanie, opatrzone jeszcze większą liczbą podpisów, musi wywołać uwzględnienie przynajmniej niektórych życzeń naszych." Żądania te najbardziej przerażają organ hakatystów, *Deutsche Zeitung*, który utrzymuje, że jakkolwiek Litwini, ze względu na wyznanie, nie są niebezpieczni dla Niemców, ale takie wystąpienie może rozzuchwalić Polaków. *et.*

Z ŻYCIA FRANCYI.

Paryż, 8 czerwca.

Zarodki organizacyi produkcyi.

Ściągnęła wystawa do Paryża znaczną liczbę robotników, którzy znaleźli pracę przy robotach przygotowawczych, i wogóle wpłynęła na ożywienie życia ekonomicznego Francyi. Po tym jednak przypływie ekonomicznym musi niechybnie nastąpić zwykły odpływ, który tym razem, dzięki podniecającemu sztucznie czynnikowi wystawy, zapowiada się groźniej, niż kiedykolwiek. Jednym przecie z najsilniejszych argumentów przeciwników wystaw jest to, że wywołują one podrożenie życia, które już potem pozostaje, do pewnego stopnia przynajmniej, i że pozostawiają na bruku masę robotników, ściągniętych z prowincyi i przyzwyczajonych już do wyższych i kosztowniejszych potrzeb życia stołecznego. Kwestya braku pracy, przymusowego bezrobocia, zawsze ważna i bolesna, staje się więc w obecnych warunkach wprost palącą, tem bardziej, że nieprzyjaciele rzeczypospolitej parlamentarnej zupełnie jawnie liczą na to, że kryzys powystawowy i spodziewane niezadowolenie masy robotniczej, pozbawionej pracy, pozwoli im wówczas urzeczywistnić swe zamiary. Zaopiekowanie się tą masą staje się więc wprost jednym z najskuteczniejszych i najpilniejszych środków obrony rzeczypospolitej.

Taki stan rzeczy dał pochop deputowanemu paryskiego przedmieścia Belleville, dr. Edwardowi Vaillant, do podniesienia w parlamencie kwestyi braku pracy, w formie interpelacyi, skierowanej do ministrów handlu i robót publicznych. Od lat siedmiu, jak Vaillant jest deputowanym, nieraz już podnosił on w ten sam sposób tę sprawę, którą specyalnie studyuje; ale tym razem odpowiedzi ministrów, Millerana i Piotra Baudina, a głównie pierwszego z nich, nadają kwestyi szczególne znaczenie dla badaczów stopniowego rozwoju ekonomicznego społeczeństw współczesnych.

Vaillant stawia naturalnie kwestyę na gruncie ogólnym i zdaje sobie jasno sprawę z tego, że zjawisko bezrobocia przymusowego nieodłącznem jest od danego systemu wytwarzania i że wskutek tego dany parlament ani rząd radykalnego środka zaradczego na tę straszną dolegliwość społeczną nie wymyśli. Wartoby przynajmniej, aby ośrodek kierowniczy społeczeństwa zmierzył dokładnie rozmiary złego, i w tym celu Vaillant proponuje przedsięwzięcie ankiety przez komisyę parlamentarną, oraz spis ludności ze specyalnem uwzględnieniem strony zawodowej, na wzór spisów w Stanach Zjednoczonych i Niemczech, na które nie żałowano tam pieniędzy. Wogóle Francya w tej dziedzinie wiele by się mogła nauczyć od innych krajów, gdzie istnieją już kasy zapomóg i ubezpieczeń na wypadek braku pracy; że zaś kwestya cała posiada znaczenie międzynarodowe i wiąże się z całokształtem prawodawstwa robotniczego, więc Vaillant pyta, czy nie byłoby to zaszczytną rzeczą dla rzeczypospolitej francuskiej, gdyby rząd jej podjął na nowo, korzystając właśnie z wystawy powszechnej, inicyatywę Szwajcaryi w celu zwołania nowej międzynarodowej konferencyi prawodawstwa fabrycznego, która to inicyatywa rozbiła się w r. 1896 o opór nie tyle innych państw, ile właśnie — rządzonej wówczas przez wsteczników Francyi.

Źródło przymusowego bezrobocia tkwi

---

targi natury umysłowej i tutaj wrzały silne walki pomiędzy Baptystami i przedstawicielami kościoła reformowanego. W przeciwstawieniu do Kaplandu, gdzie panuje ostatni, w Transwalu rządzą Baptyści pod nazwą sekty Doppers'ów i w ich to kaplicy od czasu do czasu wygłasza swoje kazania Krüger. Kiedy Bryce zapytywał przedstawicieli tej sekty o artykuły ich wiary, odpowiedziano mu, że noszą długie kamizelki i nie uznają śpiewów w kościele. Są to istotnie staromodni purytanie zastygli w swoich obyczajach towarzyskich i w ogólnym dogmatyzmie, ale zarówno jak ich imiennicy z XVII stulecia odznaczają się siłą i niezłomnością charakteru, który może niekłamany podziw budzić w porównaniu z przekonaniowemi zdechlaczkami naszego „fin de siecle'u." Krüger jest najdoskonalszym wyrazem takiego uporczywego dogmatyzmu i pod tym względem, opowiada Hobson kilka charakterystycznych, aczkolwiek już na karykaturę zakrawających, anegdot. Zdarzyło się pewnego razu, że zamieszkali w Pretoryi Żydzi otwierali bożnicę. Zaproszony na poświęcenie Kruger zajął wraz z sekretarzem swoim honorowe miejsce, ale zdjął kapelusz i nie zwracał żadnej uwagi na ostrzeżenie adjutanta, że Żydzi za złe mu wezmą ten brak poszanowania dla ich liturgicznych zwyczajów. Kiedy następnie, w toku uroczystości, udzielono głosu prezydentowi, ten po kilku konwenansowych frazesach rzekł: „Otwieram ten dom modlitwy na chwałę Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa." Innym znowu razem zdarzyło się, że Niemcy reformowani, zamieszkali w Pretoryi, uzyskali od prezydenta mórg ziemi pod budowę kościoła. Wtedy przedstawiciele gminy żydowskiej wystąpili również z podobnem żądaniem. Krüger najchętniej obiecał poprzeć ich życzenie w Volksraadzie i istotnie po pewnym czasie Izraelici otrzymali — *pół* morga ziemi. Interpelowany przez członków dozoru kościelnego, dlaczego Żydzi nie zostali tak szczodrze obdarowani, jak wyznawcy Lutra, Krüger miał odrzec: „Oni uznają całą biblię — Stary i Nowy Testament, a wy tylko Stary; jeżeli tedy oni otrzymali mórg ziemi, to wy możecie rościć pretensye tylko do połowy tej powierzchni." Krüger zna *jedną* tylko książkę, ale ta książka jest Biblią. Tam czerpie wszystkie swoje natchnienia, jej zapytuje o radę w zwątpieniu i w niej pokłada wszystkie swoje nadzieje. Nasze wielojęzykowe, rozgadane czasy nazywają go pewnie — analfabetą. Trudno jednak, pomimo całego szacunku dla wiedzy, odmówić pewnego charakterystycznego i dodatniego, co więcej, stanowiska nieszczęsnemu „Chamowi" transwalskiemu, który zginąć musi pod naciskiem wszechmożnej, banknotami podszytej cywilizacyi angielskiej. Lord Salisbury wygłasza znakomite rozprawy z zakresu filozofii przyrodoznawstwa w królewskim Instytucie w.-brytańskim, zapewne, że Krüger nie rozumie wcale, że istnieje na świecie jakowaś „Ewolucya," o którą staczać walki można i dlatego jest analfabetą, ale historya stosuje inną miarę sądów, niż współcześni, otumanieni wielkością mężów stanu, co chwilowo mają powodzenie. I dlatego pewnie wspominać będą historycy „głupiego" Krugera wtedy jeszcze, kiedy po lordzie Cecil—Salisburym nie zostanie żadnego więcej wspomnienia.

⁂

nietylko w tem, że nieustanny postęp techniczny, nie kompensowany zmniejszeniem ilości pracy rąk zajętych, pozbawia zarobku coraz większe zastępy pracowników. Oprócz tej najogólniejszej przyczyny, jest inna, której w części przynajmniej łatwiej by było zaradzić, nie dotykając bezpośrednio samych podstaw systemu produkcyi i posiadania: jest nią bezrząd produkcyi, brak w niej wszelkiego planu zbiorowego i koordynacyi. Nie chodzi tu już nawet o produkcyę prywatną, na którą rząd tylko pośrednio i to w słabym stopniu dziś oddziaływać może — gdyby nawet chciał; ale ten sam bezrząd i brak planu panuje w robotach, mających charakter publiczny, przedsiębranych przez gminy, departamenty i państwo samo. Roboty te, należące głównie do zakresu inżenieryi, prowadzone są nieustannie w różnych punktach kraju; ale każda gmina, każdy departament, tak samo, jak każdy przedsiębiorca prywatny, zaczyna je i prowadzi na własną rękę, bez żadnego względu na inne części kraju. Ten stan rozproszenia ma zawsze wiele złych stron, źle wpływa na ogólne ekonomiczne uzbrojenie kraju, na stan jego zarówno pod względem całokształtu narzędzi produkcyi, jako też zużytkowania żywej siły roboczej; szczególnie będzie on zgubny w obecnych warunkach, gdy kończące się roboty wystawowe i inne, pośrednio od wystawy zależne, wyzwolą znaczny zapas siły roboczej. Należałoby koniecznie skoordynować roboty publiczne wszelkiego rodzaju, mające być wykonanemi w całej Francyi w ciągu nadchodzących lat kilku, rozsegregować je według stopnia ważności i pilności, ułatwić municypiom wszelkie formalności i otrzymanie potrzebnego kredytu, poczem już łatwo daleby się skierować ku tym robotom spodziewany nadmiar rąk. W celu ułożenia takiego regulaminu produkcyi, między innymi, Vaillant już dawniej postawił wniosek utworzenia osobnego „ministeryum pracy“ — stara myśl Ludwika Blanca, na razie jednak zadawala się „departamentem pracy,“ utworzonym przez Milleranda przy ministeryum handlu i przemysłu. Taki plan robót miałby cechę środka zaradczego przeciwko bezrobociom przymusowym, ale zarazem nie byłyby to roboty sztuczne, nieodpowiadające rzeczywistym potrzebom. Pamiętając o smutnym losie warsztatów narodowych w r. 1848, Vaillant kładzie silny nacisk na to, że roboty, przedsiębrane przez rząd w celu zaradzenia brakowi pracy, powinny mieć koniecznie taki charakter, aby nie robiły konkurencyi robotnikom, mającym pracę i aby dawały zajęcie odpowiednie do fachowego uzdolnienia poszukujących jej — w czem się z nim obydwaj społeczno-demokratyczni członkowie rządu skwapliwie zgadzają.

Dyskusya, która rozwinęła się z powodu interpelacyi Vaillanta, jest pod tym względem ważna i pouczająca *), wykazuje bowiem, jak ściśle kwestya bezrobocia, nawet czasowego, powystawowego, połączona jest z całokształtem życia ekonomicznego i politycznego. Różni mówcy wskazują i polecają uwadze ministrów różne przyczyny, utrudniające rozwój czynności wytwórczej i dostarczenie zajęcia robotnikom. Tak np. metalurgia francuska ma obecnie tendencyę do wzmożenia produkcyi, szczególnie dla zaspokojenia rosnących potrzeb kolei żelaznych, ale jest w zależności od górnictwa, które nie produkuje dostatecznej ilości koksu; Vaillant żąda nawet, aby rząd, który tylko wypuszcza kopalnie w dzierżawę, ale nigdy nie wyzbywa się ich własności, zmusił towarzystwa akcyjne do zwiększenia produkcyi koksu. Nadmiar robotników, wyzwolony przez wystawę, mógłby z łatwością znaleźć zajęcie przy budowie domów; ale przemysł budowlany, wbrew potrzebom wzrastającej ludności, wbrew naturalnej swej tendencyi, jest od roku sztucznie powstrzymany o jakieś 50% w swej działalności, jedynie dlatego, że syndykaty kapitalistów monopolizują węgiel i żelazo, co sprowadza znaczne podrożenie wszystkich materyałów budowlanych. Radykalista Ferrand domaga się od rządu — ale nadaremnie — użycia przeciw tym syndykatom odpowiedniego surowego paragrafu kodeksu karnego. Podobnie rzecz się ma z monopolizacyą kredytu przez potężną instytucyę „Crédit Foncier“: pomimo obfitości kapitałów, gminy, zmuszone udawać się do niej, nie mogą znaleźć kredytu dość taniego, co odstręcza je od przedsiębrania pilnych nawet robót. Koleje żelazne, wbrew powziętym wobec rządu zobowiązaniom, a ze względu na dywidendę, budują bezkarnie tory pojedyncze, zamiast podwójnych: wdając się w to, rząd zapewniłby zajęcie pewnej ilości robotników. Z innej znów strony, w takim np. Paryżu nawet podczas wystawy część robotników budowlanych nie znajdowała pracy, bo sprowadzano z prowincyi tańszych; tak samo gdzieindziej: tańsi cudzoziemcy wypierają robotników miejscowych; pilnem się więc staje, zdaniem Vaillanta, uchwalenie minimum płacy. Wreszcie — jest i trudność polityczna: gminy bowiem, obawiając się uszczuplenia swej i tak skąpej dzisiaj autonomi politycznej, protestowałyby przeciw uzależnieniu ich życia ekonomicznego od planu ogólno-krajowego. Zbyt wielkie wdawanie się władzy publicznej w stosunki ludzi do ludzi, cechujące cały system obecny, staje w antagonizmie do należytego regulowania stosunku ludzi do rzeczy...

Naturalnie, na to wszystko przedstawiciele rządu, pomimo całej swej sympatyi dla dążności Vaillanta, rady nie mają, bo nie mogą lub nie chcą porywać się na podstawy ustroju. Pod wielu względami jednak mowy Milleranda i Baudina świadczą o poważnem i głębokiem traktowaniu sprawy i znacznie lepszych chęciach, niż u ich poprzedników. Millerand, uznając w zupełności braki dotychczasowej statystyki zawodowej we Francyi, zapowiada na r. 1901 zawodowy spis ludności. Co do konferencyi międzynarodowej, komunikuje on ciekawą wiadomość, że minister spraw zagranicznych na jego życzenie zwrócił się już z odpowiedniemi propozycyami do innych rządów, które jednak robią trudności; ale podczas wystawy (od 25 do 29 lipca) odbędzie się prywatny, a raczej półurzędowy kongres opieki prawnej nad pracującymi, który ma na porządku dziennym sprawę utworzenia biura międzynarodowego prawodawstwa pracy; takie biuro oddawałoby wielkie usługi i przy zwalczaniu braku pracy. Ankietę w sprawie bezrobocia obiecuje minister powierzyć zreorganizowanej przez siebie w kierunku wybieralności, wyższej radzie pracy przy ministeryum handlu. Co ważniejsza jednak, z ust przedstawiciela rządu po raz pierwszy padają doniosłe słowa następujące, którym *ani jeden głos* w tej wielobarwnej Izbie deputowanych nie zaprzecza: „Są na brak pracy pewne ogólne środki zaradcze, mianowicie: lepsze warunki pracy, zmniejszenie długości dnia roboczego. W tym zakresie gabinet teraźniejszy spełnił już część swego obowiązku, wydając dekrety z d. 10 sierpnia 1899 r. (upoważniające gminy i departamenty, a zobowiązujące państwo do określenia minimalnych warunków pracy robotników w kontraktach z przedsiębiorcami) i prawo z d. 30 marca 1900 r. (skracające dzień roboczy z 11 do 10½, a po czterech latach do 10 godzin). Obok tego jest jeszcze środek daleko większej wagi: *rozwój organizacyi zawodowej; Izba wie, że jest on myślą przewodnią mych całych obrad w ministeryum handlu.* Robimy wszystko, aby ułatwiać, a nawet wywoływać legalną organizacyę syndykatów i giełd pracy. Dekrety 10 sierpnia i późniejsze (zobowiązujące inspektorów przemysłowych do współdziałania z syndykatami robotniczymi) dają robotnikom zorganizowanym możność wpływania na ustanowienie samych warunków pracy; prócz tego mają oni teraz swych przedstawicieli wybieralnych w wyższej radzie pracy.“ (Lewica oklaskuje, lecz nie protestuje *nikt*).

Przechodząc od tych zasad ogólnych do środków zaradczych na dziś i jutro, mających na celu zapobiegnięcie brakowi pracy podczas kryzysu powystawowego, Millerand zawiadamia parlament o dwóch powziętych przez rząd postanowieniach, które właśnie na największą w całej tej sprawie zasługują uwagę.

Naprzód, już d. 19 stycznia, otwierając sesyę „Conseil supérieur du commerce,“ czyli swej rady przybocznej w zakresie handlu i wogóle interesów przedsiębiorców, minister polecił radzie tej przeprowadzić jak najszybciej ankietę w celu skoordynowania i rozklasyfikowania według stopnia pożyteczności i pilności wszystkich robót publicznych, mających być przedsięwziętemi w całym kraju. Kwestyonaryusz rozesłano do rad departamentalnych i gminnych, do izb handlowych; odpowiedzi nadchodzą, tabela odpowiednia wkrótce zostanie ułożoną i ogłoszoną, przyczem rząd zobowiązuje się do poparcia wszelkimi możliwymi środkami inicyatywy rad municypalnych, do ułatwienia formalności prawnych.

To jedna strona kwestyi. Z drugiej strony minister robót publicznych, Baudin, na prośbę Milleranda, kazał już ułożyć i rozlepić w warsztatach wystawowych i innych afisz, zawierający spis wszystkich robót, prowadzonych obecnie lub mających być rychło rozpoczętemi w całej Francyi, z podaniem przypuszczalnego czasu ich trwania, ilości potrzebnych w każdym wypadku robotników oraz szczegółowych warunków pracy. Robotnicy wystawowi i inni, pragnący tam się zaciągnąć, powinni zgłaszać się do sekretarza związku giełd pracy („jest to jeszcze jeden świadomy i celowy dowód zaufania rządu do organizacyj robotniczych“ — dowód tem charakterystyczniejszy, że sekretarzem tym jest F. Pelloutier, znany oddawna jako „libertaire“), a otrzymają od kolei żelaznych bilety na podróż za połowę ceny.

Nie dość na tem. Od kilku lat już organ ministeryum handlu, *Bulletin de l'office du Travail*, miesięcznik ze wszech miar ciekawy i pouczający, zamieszcza w każdym zeszycie mnóstwo informacyj, pochodzących od stowarzyszeń zarówno przedsiębiorczych, jak robotniczych, o natężeniu czynności produkcyjnej w każdej miejscowości, o procencie pozbawionych pracy lub ilości zapotrzebowania siły roboczej, o stopie płacy i długości dnia itp. Już to stanowi cenny przewodnik dla poszukującego pracy najemnika. Otóż Millerand postanowił na tej podstawie utworzyć całe ogólne biuro informacyjne dla poszukujących zajęcia, powierzając tę czynność — organizacyi robotniczej. „Co tydzień wszystkie giełdy pracy (a tych lokalnych związków stowarzyszeń zawodowych jest kilkadziesiąt) będą przysyłały informacye szczegółowe o istniejącym w ich okolicy popycie, podaży i warunkach pracy w każdym fachu — sekretaryatowi związku giełd pracy, ten zaś będzie je klasyfikował, zestawiał i ogłaszał w wielkim afiszu peryodycznym, który, dzięki subwencyi rządowej, będzie darmo rozsyłany giełdom pracy, a za bardzo umiarkowaną cenę — wszystkim stowarzyszeniom zawodowym. *W ten sposób utworzy się prawdziwa giełda siły roboczej.*“

Zestawmy teraz te dwa przedsięwzięcia, będące na pozór tylko niewielkiej wagi krokami administracyjnymi; przypomnij-

*) Ob. *Journal Officiel* z 1 i 2 czerwca.

my sobie, że państwo nowożytne ma nieprzepartą dążność do roztaczania swej coraz bardziej bezpośredniej władzy nad wszystkiemi dziedzinami życia ekonomicznego i że ten sam Millerand w słynnej mowie, wygłoszonej 1896 r., uznał za zupełnie dojrzałe do przejścia dziś już na własność i pod zarząd państwa — nietylko kopalnie i koleje żelazne, ale i rafinerye cukru np.: a czegóż spodziewać się możemy od dającego się łatwo przewidzieć stopniowego rozszerzenia powyższych pomysłów? Oto mieć będziemy z jednej strony społeczny plan produkcyi, z drugiej — swobodny werbunek pracowników do każdej jej gałęzi, podług z góry przewidywanych i peryodycznie w krótkich odstępach czasu określanych potrzeb wytwarzania oraz warunków pracy i wynagrodzenia. A wobec tego tem godniejszemi uwagi się stają zarówno ten fakt, że inicyatywa wychodzi od Milleranda i prawie na pewno nie wyszłaby od innego ministra, jak ten, że z chwilą sformułowania myśli, utajonej w żywiołowym rozwoju stosunków, narzuca się ona bez możności najmniejszego protestu wszystkim najgwałtowniej nawet walczącym z sobą żywiołom społecznym.

K. Radosławski.

UNIVERSITY EXTENSION.

Otrzymaliśmy program tegorocznych wykładów w uniwersytecie ludowym w Cambridge. Tylokrotnie opowiadano już w *Prawdzie* dzieje rozwojowe tych uniwersytetów, ich doskonałe, celowe urządzenia, sympatye, jakie budzą w ludności angielskiej. Nie będziemy ich tedy powtarzać, a jeśli wogóle zwracamy uwagę czytelników na ów program z Cambridge, czynimy to dla dość ważnych względów. Przedewszystkiem „University extension" w Cambridge obchodzi w roku bieżącym jubileusz ćwierćwiekowy swego istnienia na chwałę zasłużonej wszechnicy tego miasta, której członkowie nie wahali się oddać swego czasu i swej wiedzy na usługi mas i maluczkich. Kto z własnych doświadczeń zna starożytną opowieść o tkaninie Penelopy, ten zrozumie, jak cenić należy wytrwałość specyalistów prawników i przyrodników, historyków i literatów na polu popularyzacyi wiedzy śród rzesz szerokich. Oto powód pierwszy.

Dalej, organizatorowie wykładów postanowili uczcić swój własny jubileusz i jubileusz ludzkości, która w roku bieżącym kończy swoje rachunki — nadziei i rozczarowań pełne — z XIX stuleciem, przez odpowiedni spis wykładów. Oto mianowicie postarali się, ażeby wykłady objęły w szerokim rzucie: „Życie i myśli narodu angielskiego w XIX stuleciu." I z tego właśnie tytułu zwracamy na nie uwagę. Wykłady dzielą się na sześć części. Pierwsza pod ogólnym tytułem „Rozwój narodowy," obejmuje trzy sekcye, jako to: 1) Dzieje polityczne i wewnętrzne, 2) „*The Empire*," 3) Dzieje społeczne i przemysłowe. Do pierwszej sekcyi należą wykłady dotyczące rozwoju prawa, idei demokratycznych, zmian w parlamentaryzmie, prądów politycznych, idei narodowości itd. — w naszem stuleciu. Do drugiej należą następujące przedmioty: walka z Napoleonem o kolonie, rozwój kolonij, Indye, polityka angielska od bitwy pod Waterloo, Anglia a Stany Zjednoczone. W trzeciej znajdujemy wykłady: życie wiejskie i robotnicze w XIX wieku, walka z ubóstwem, ruch chrześciańsko-społeczny (1848—1898), ruch współdzielczy, sprawa kobieca, rozwój przemysłu angielskiego, wzrost wielkich miast, *trades-union'y*, przyczyny historyczne wzrostu płacy, hygiena a życie.

Część druga dotyczy studyów *literackich*. Tutaj usłyszymy o literaturze z początku stulecia, o Shelleyu i Byronie, o filozoficznych podstawach poezyi nowoczesnej, o Macaulayu, o Mateuszu Arnoldzie, o poetach dnia dzisiejszego, o rozwoju noweli angielskiej, o ideałach społecznych literatury nowoczesnej itd.

Część trzecia uwzględnia postęp w zakresie *nauk ścisłych* i rozpada się na tematy: teorya mgławic, zachowanie energii, chemia i jej metody, elektrochemia, fotografia, elektryczność; teorya ewolucyi, mózg jako organ umysłu, medycyna, nowoczesna historya naturalna, rozwój bakteryologii, agronomii, geologia, poszukiwania geograficzne, Darwin i jego dzieło.

W części czwartej przemawiają *teolodzy* w sprawach: rozwoju chrześciaństwa, prądów myśli chrześciańskiej, badań nad starym i nowym testamentem.

Część piąta daje obraz pracy dokonanej w zakresie wychowania: chrystyanizm w szkole, wychowanie dzieci pod względem teoretycznym i praktycznym, wychowanie elementarne, średnie, niewieście; historya i nauki ścisłe jako przedmiot wykształcenia szkolnego, wychowanie narodowe a ideały społeczne, wykształcenie przemysłowe, ideały uniwersytetów ludowych.

Ostatnia część, szósta, obejmuje biografie: Ruskina, jako moralisty i proroka, Henryki Martineau, Wellingtona, Peela, Morrisa, Walter Scotta i Johna Brighta.

Z wielką przyjemnością przytoczyliśmy treść szczegółową bogatego katalogu, a mniemamy, żeśmy tym suchym materyałem afiszowym czytelnika nie znudzili. Istotnie organizatorowie mieli niezmiernie szczęśliwą myśl nietylko dlatego, że namacalnie dotknęli złotej żyły pedagogicznej, ale że umieli w tak barwny sposób myśl swoją rozwinąć.

Nie każdego stać na czterotygodniowy (od 2 do 27 sierpnia) pobyt w Cambridge. Nie każdy słuchacz może się oderwać na tak długi czas od zwykłej swej taczki codziennej. Słuchacz, tedy, który połowy tylko wyliczonych powyżej wykładów wysłucha, będzie posiadał pewne, jasno określone, pełne treści pojęcie o rozwoju Anglii w stuleciu, które schodzi ze sceny. Nie zaszkodzi zresztą zaznaczyć, że w gronie wykładających znaleźli się tacy znakomici uczeni, jak Dicey, Stubbs, Jebb, Ball i inni, ogółem około 75 uczonych, pomiędzy którymi znajdują się również dwaj cudzoziemcy — Edward Reich z Wiednia i Roin z Jeny, pierwszy literat, drugi pedagog, obaj cieszący się znacznym rozgłosem w uniwersytetach, na których stale wykładają.

Nie chcielibyśmy tutaj postawić kropki. Potrzeby, które dały życie powyższemu programowi, nie są specyficzną właściwością stosunków angielskich. I nas również złocą promienie zachodzącego stulecia. Dlaczego u nas nikt nie pomyślał o zorganizowaniu podobnych wykładów, może nie tyle uwzględniających życie nasze, ile rozwój nauki i życia Europy w XIX stuleciu. A mniemamy, że było nader łatwo nietylko obmyślić rzecz taką, ale ją i wykonać, w pewnym przynajmniej zakresie. Oto Muzeum przemysłu i rolnictwa urządza corocznie szereg wykładów, dotyczących pewnego działu wiedzy przyrodniczej. Słyszeliśmy o przygotowaniach mających się odbyć późną jesienią i w zimie najbliższej. Czyżby nie można było uczynić w tym roku wyjątku dla *historyi* myśli i zastosowań umiejętności przyrodoznawczych w XIX stuleciu? Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze nie zamknęliśmy roku szkolnego, jeszcze nie owionęło nas, spragnionych a łaknących, *far niente* letniej kanikuły. I dlatego rzucam tu ziarno projektu w głębokiej nadziei, że odezwie się on harmonijnym oddźwiękiem w umysłach i sercach ludzi, od których urzeczywistnienie jego zależy.

Zen. Por.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Delegacya pracy kobiet.

Ostatnie dwadniowe obrady tej sympatycznej sekcyi Towarzystwa popierania rosyjsk. przemysłu i handlu poświęcone były rozprawom nad całym szeregiem kwestyj niezmiernej wagi i umiały zainteresować szersze warstwy inteligencyi tak lub inaczej z sekcyą związanej. Pierwszego dnia usłyszeliśmy sprawozdanie z ankiety zarządzonej śród gospodyń wiejskich, które jednak nie wypadło dobrze może nie tyle z winy sprawozdawcy, ile z braku materyałów. Wieśniak wogóle do pióra nie skory, a brak specyalnych wiadomości ekonomicznych jest często zupełny. Ankieta, któraby się ograniczyła do kilku zapytań, ogniskujących się w jednem najważniejszem: „czy gospodarstwo domowe daje dochody?" — nie daje żadnego rezultatu umiejętnego i na wyprowadzenie jakichkolwiek wniosków teoretycznych nie pozwala zgoła. Nie mamy tu dość miejsca, aby tę sprawę u nas zaniedbaną bliżej rozpatrzeć. Pod tym względem odsyłamy czytelnika do uwag zamieszczonych w III części „Poradnika dla samouków," gdzie szczegółowo rozpatrzono potrzebę czynienia spostrzeżeń w zakresie gospodarstwa domowego, opisywania gospodarstw itd. Jeżeli nas kto zapewnia, że gospodarstwo mleczne, ptasie itd. daje mu dochodu 200, 300, albo i więcej rubli, to nas bynajmniej nie przekonywa, bo znajomość buchalteryi na wsi nawet w gospodarstwie męzkiem jest żadna, a tylko szczegółowy rachunek na wnioski pozwolić jest zdolny. Nasze gospodynie często nie wiedzą o różnicy pomiędzy *brutto* i *netto*, aczkolwiek ta różnica jest tu rzeczą najbardziej zasadniczą. Tak tedy uważamy sprawozdanie odczytane na posiedzeniu za początek zaledwie agitacyi, która miałaby poważne zadanie do spełnienia.

Druga na porządku dziennym stała sprawa niezmiernej dziś wagi: „nasze służące i my," jak brzmiał tytuł referatu. Referentka w nader pięknie napisanym odczycie ze smutkiem zaznaczyła, że na polu stosunków pań do służących uwydatnia się potrzeba gruntownej reformy. Rodzice oddają do służby dzieci wyszłe ledwie z lat niemowlęcych. W mieście dziecko przechodzi przez pierwszy kanał demoralizacyi, tj. przez kantory sług; następnie, jako istota nic nieumiejąca i do pracy niezdolna, dostaje się w ręce ludzi niewiele od siebie zamożniejszych i równie jak ona ciemnych. Tak mijają lata, w których ciągu dziewczyna osamotniona, bez podpory moralnej, bez opieki skutecznej zdobywa łatwość wyzbycia się zalążków uczciwości, które może w niej spoczywały: sposobności zdobycia moralnego i fachowego przygotowania do walki o byt nie znajduje wcale. Reformy proponowane przez prelegentkę sprowadzają się do następujących sześciu punktów: 1) założenie towarzystwa opieki nad dziećmi oddawanemi do służby; 2) założenie szkoły, któraby tę kategoryę wychowańców miała jedynie na względzie; 3) utworzenie kursów *kucharskich*; 4) założenie resursy dla sług; 5) biura pomocy prawnej, broniącego służące od wyzysku i 6) kasy pomocy. Nad referatem wywiązała się nader ożywiona dyskusya, w której dość bezładnie krzyżowały się najróżnorodniejsze opinie: do szeregu dezyderatów przybyły i wakacye letnie i in. Na szczególne zaznaczenie zasługuje głos pan-

ny Kruszewskiej, która domagała się ofiarowania służącym dwu godzin rekreacyi dziennie. Czasem tym powinny służące rozporządzać dowolnie.

Drugiego dnia porządek dzienny wyczerpał referat pani Męczkowskiej w sprawie towarzystw opieki nad kobietami. Referentka w dosadnych a ponurych barwach odmalowała jedną z najbardziej bolesnych ran społecznych — prostytucyę. Podkreślić należy odwagę, z jaką to uczyniła, drwiąc sobie z całego arsenału przesądów towarzyskich, tradycyj, konwenansów i wystawiając na pośmiewisko naszą hipokryzyę, która przechodzi nad tym wonią swą zatruwającym powietrze moralne życia naszego wrzodem, do porządku dziennego, tj. do wyścigów, premier teatralnych i zabaw kwiatowych. Nie wszystkie argumenty, wytoczone przez autorkę referatu, wytrzymują surową krytykę naukową. Już na samem posiedzeniu dyskusya wyłoniła cały szereg wątpliwości i pytajników, a przy bliższem rozpatrzeniu szereg ich powiększyłby się stanowczo. Ale za bezwzględną zasługę autorkom poczytujemy, że wogóle głos zabrały, opinię naszą drzemiącą na miękkiem wezgłowiu bezczynności i ogłupiającej nudy— poruszyły, wzruszyły albo i oburzyły, a o to głównie im chodzić mogło. Nie może być ich rzeczą, jakie krystały się z tej płynnej masy poglądów i słów, uczuć i myśli urobią. Mogą sobie tylko powiedzieć: „idźcie w świat myśli moje i rodźcie nowe!"

Środki proponowane przez prelegentkę dotyczą: 1) akcyi ratunkowej, mającej na celu, prócz obrony jednostki — walkę słowem i czynem, skierowaną ku rozbudzeniu poczucia słuszności i sprawiedliwości w sumieniu publicznem; 2) wychowania moralnego społeczeństwa (między innemi koedukacya chłopców i dziewcząt); 3) zakładania biur obrony i ochrony pokrzywdzonych kobiet.

Tutaj urywamy sprawozdanie nasze. W najbliższych numerach *Prawdy* wrócimy zarówno do kwestyi „służących," jak i do sprawy kobiet upadłych.

Kąpiele publiczne

Od wielu lat już kwestya kąpieli publicznych ludowych jest u nas aktualną i z taką lub inną przyprawą powraca stale na szpalty prasy. Obecnie mamy do zanotowania niewielką broszurkę dr. Bartkiewicza: „Statystyka kąpieli publicznych w Warszawie," który zajął się nader skrzętnem nagromadzeniem danych faktycznych o zakładach kąpielowych, przeznaczonych dla szerszej ludności miasta. Ogólna liczba wanien w warszawskich kąpielach publicznych wynosi zaledwie 333. Łaźni jest 7. Co się tyczy natrysków, stosowanych oddzielnie, to ten rodzaj kąpieli jest w Warszawie nader mało rozpowszechniony. Kąpieli w wannach wydaje się rocznie (według ksiąg handlowych utrzymujących łazienki) — 264,160, do łaźni w roku ubiegłym wydano 715,510 biletów, oddzielnych wreszcie natrysków wydano około 10 tysięcy. Razem otrzymamy milion biletów, co wobec milionowej ludności (odliczając nawet pewien niewielki odsetek, oczywiście, tych, którym losy łaskawe pozwalają kąpać się w domu) daje rezultat wiadomy z prac dawniejszych, rezultat piekielnie smutny, bo świadczący, że przeciętny Warszawiak kąpie się raz, a w wypadkach wielkiego puryzmu fizycznego — dwa razy do roku. Można, naprawdę dostać melancholii. Autor na str. 11 rozkłada nasz wniosek na poszczególne jego składniki i wykazuje, że „jeżeli pominiemy kąpiele udzielane w szpitalach, łecznicach, statystykę łazienek domowych i kąpieli fabrycznych (a wszystko to możemy z czystem sumieniem pominąć, jako drobny zaledwie procencik, jako *quantité negligeable*), to jedna kąpiel wannowa przypada na jednego mieszkańca Warszawy raz na 24 lat, jedna łaźnia wypada przeszło na 10 miesięcy. Dalej znowu przeraża nas złe rozmieszczenie zakładów kąpielowych.Ześrodkowują się one w pewnych tylko punktach miasta, pozostawiając całe, licznie zamieszkałe dzielnice, zupełnym odłogiem. Po za tem kąpiele są niezmiernie drogie, tak iż tylko ludność zamożna może z nich korzystać. Przedsiębiorcy skarżą się na złe rezultaty finansowe takich przedsiębiorstw, przyczem powołują się na drożyznę wody i opału. Ostatecznie niema innego wyjścia, jak tylko odwoływanie się stałe do filantropii; nie dorośliśmy jeszcze do poziomu, na którym zarządy miast europejskich własnym kosztem fundują liczne i przepysznie urządzone łaźnie ludowe. Ktokolwiek zwiedzał takie kąpiele ludowe w miastach niemieckich, ten nietylko podziwiał ich urządzenie hygieniczne, ale i dojrzałość ludności, która je tak licznie odwiedza, ten nie będzie widział okolicznościowej blagi w słowach znanego dermatologa, prof. Lassara, które słyszeliśmy w r. 1896 na wystawie przemysłowej w Berlinie, kiedy ten znany inicyator kąpieli ludowych domagał się, aby „każdy Niemiec korzystał co tydzień z jednej kąpieli." Tam, gdzie się ludzie kąpią raz na miesiąc, można uważać tygodniową kąpiel za cel możliwy do osiągnięcia; ale jakże nam daleko do kąpieli co miesiąc! Kiedy bowiem mowa o naszych kąpielach, przypomina mi się zawsze anegdotka następująca: Do zakładu kąpielowego w Marienbadzie przychodzi Żyd polski i żąda kąpieli; każą mu za bilet zapłacić guldena. Żyd w targ. Wtedy kasyerka mówi: jeżeli pan weźmiesz 12 biletów, to każdy wypadnie tylko po 75 krajcarów. Na to Żyd: „A skądże pani wie, że ja będę żył jeszcze lat dwanaście?" Nawet bezwzględny antysemita przyznać musi, że anegdotka ta zastosować się daje do wszystkich naszych rdzennych i napływowych brudasów.

Szczupak w liberyi filozofa.

Jednocześnie w *Dzienniku dla wszystkich* i w *Rolniku i hodowcy* znajdujemy gwałtowną wycieczkę przeciwko Maćkowi. Pan G. Dol... uznał za stosowne skruszyć kopię potępienia nad głowami głupich Wojtków, którzy, bez względu na ojcowską opiekę chlebodawców, uciekają gromadnie ze wsi. Wprawdzie jest już tak na świecie, że ci, co nawet żadnych uczuć patryotycznych nie mają, uciekają tam tylko, gdzie dobrze (*ubi bene, ibi patria*), ale nasz niewierny Maciek przeczy wszystkim prawom logiki i psychologii emigracyi. Pan Dol... nie ograniczył się do ogólników: inwentarz raju, w którym żyje parobek dworski, jest nader szczegółowy, i tak: „Praca służby wiejskiej jest stokroć lżejszą od pracy fabrycznej; robotnicy w cukrowniach, kopalniach, obsługujący maszyny, pracują ostatecznie ciężej, bo robota fabryczna lubi pośpiech, a maszyna nie czeka; dzisiejszy pług... sam orze, kośba jest robotą cięższą, ale sprawny do kosy chłop zarobi dziennie rubla, podawanie zaś snopów na furę... nie jest robotą wyczerpującą (?!). Służba dworska trzy razy dziennie jada ciepłą strawę: między 7 a 8 rano gotowane śniadanie, w południe obiad z dwóch potraw, o 5-ej podwieczorek, a między 8 a 9 wieczerza; dalej ma za złe autor ludności warszawskiej, że się źle odżywia i przeciwstawia „obrzynkom z najgorszego gatunku wędlin, a raz na tydzień podejrzanej wartości zupie — kwaśne mleko (zbierane), podprawny barszcz (palce lizać!), krupnik z mięsem (o rari nantes in gurgite vasto!), zacierkę na wodzie." Rzecz dziwna, na początku swego memoryału autor wyśmiewa „różnych teoretyków, nieznających spraw wioskowych." Żeby tak pisać (po 3—5 kop. od wiersza), należy przecież wieś znać, a my znamy wieś naszą, niestety, znamy! Rano kartofle na wodzie, wieczorem na mleku, w południe kasza, a po za tem pojemność żołądka zapychana niezrozumiałe wielką ilością chleba razowego. Na „dworskim stole" ludzie pracować nie chcą, o tem wie każdy gospodarz; parobek żonaty (mieszkający w czworaku) je obydnie źle i nie może jeść inaczej, bo jego żona jest albo chora, albo na robocie, albo nie umie gotować i dlatego właśnie rozumiemy dobrze przyczyny emigracyi ludu ze wsi do miast. Gdyby tak istotnie Wojtek znajdował w Warszawie tylko obrzynki cuchnącej wędliny, to tęskniłby zapewnie, niby Żydzi biblijni za garnkami z mięsem, co w ziemi egipskiej zostały — a Maciek nie wraca. A przecież i p. Dol... nie wątpi chyba o zdrowym chłopskim rozumie.

Inaczej sobie poczyna drugi nasz partner, ziemianin, p. Edmund Dobrzański z Nadolnej. Gdy kur zapiał, jeden pozostaje obojętnym, drugi tłukące się upiory odpędza znakiem krzyża: p. Dobrzański telefonuje po oddział policyi, dla niego bowiem cała tłumna emigracya do miasta jest tylko skutkiem „bezrozumnej agitacyi prawdziwych i kłamanych chłopofilów, różnemi drogami i środkami, przez lat wiele psujących im w głowach, aż wreszcie doprowadzeni do stanu ogłupienia, zgotują sobie nędzę, a społeczeństwu nieobliczone straty moralne i materyalne." I dalej: „...Cały zastęp krańcowo-postępowej prasy, dosiadłszy modnego dziś pegaza—kwestyi robotniczej — zachęca do stawiania coraz nowych niemożliwych żądań..." „Kozłem ofiarnym jest, jak zwykle, chlebodawca, pomawiany o sobkostwo, chciwość, zacofanie i tym podobne cele egoistyczne, jak gdyby ziemiaństwo dzisiejsze żyło w wiekach średnich i nie czerpało wiedzy i poglądów na obowiązki i stosunki życiowe z tych samych źródeł mądrości i wiedzy, co ich antagoniści? Lecz gdy pierwsi zostali wiernymi tradycyjnym wierzeniom i pojęciom w duchu chrześciańskim „miłości bliźniego," tamci, hołdując szumnie brzmiącym nowoczesnym hasłom o postępie i poniewierce zacofanych wierzeń i długo jeszcze niedościgłej równości (cywilizacyi z barbarzyństwem i ciemnotą) w imię pseudo-odrodzenia ich głoszonym... miasto uszczęśliwienia tłumów, zawiedli je na rozdroża, skąd jako ofiary przestępstw, zbrodni i innych tym podobnych rozkładowych wpływów, tysiącami zaludniać będą ciemnice więzień lub zimne i bezludne stepy Sybiru." W dalszem rozwinięciu artykułu prasa jest w rękach „samozwańczych pionierów społecznych," przyczem p. D. ma grube wątpliwości, żali można emigrantów wiejskich, „to bezmyślne, samolubne zjawisko społeczne," *traktować jako ludzi. Sic haeret aqua!* Z całą siłą przekonania możemy zapewnić autora, że właśnie dlatego nie ma ludzi do roboty, że miewa takie wątpliwości. Znamy gospodarzy, którzy już oddawna wyzbyli się takiego ordynarnego... sceptycyzmu i tacy najczęściej miewają ludzi w bród. Wcale nie twierdzimy, aby kwestya robotnicza na wsi była dziś sielanką. Bynajmniej. Żywiołowy ruch niezdolny jest analizować i dlatego właśnie jest żywiołowym, że odbywa się po za granicami świadomości różniczkującej pracodawców na dobrych i złych. I dlatego może się niejednokrotnie zdarzyć, że i dobry (pod względem moralnego obchodzenia się ze służbą) gospodarz zostanie bez robotników. Taki zaś nie upadnie na duchu, nie opluje Maćka, tylko pracować będzie dalej nad zbudowaniem mostu zgody pomiędzy sobą a czeladzią folwarczną. Taki też nie zamyka granicy, nie woła: *gore! łapać!* — tylko pracuje. Taki też nie będzie czytać wypracowań pp. Wodzyńskich i Dobrzanskich, a słysząc nawoływania puchaczy nocnych i sępie pobudki, odpędzi od siebie zmorę złej, występnej myśli, powtarzając uczciwe słowa starego Fredry: „Nie wódź mnie na pokuszenie, ojców moich wielki Boże..."

BADANIA NAUKOWE.

RZUT OKA NA HISTORYĘ POLSKĄ.

IV.

Jak wiemy, czasy Jagiellonów są okresem gorącej walki pomiędzy możnowładztwem a ogółem ziemiaństwa. Możnowładztwo ówczesne czerpało wpływy swoje z tradycyj rodowych, oraz piastowanych dostojeństw, słowem powaga jego opierała się na dumie rodowej i przywileju, nie zaś na majątku. Niwelacyjne dążności gminu szlacheckiego, pozbawiając baronów ich wyłączności uprzywilejowanej, podważały wtedy najistotniejszą podstawę samego bytu arystokracyi. Lecz przyłączenie Rusi stwarza zgoła nową epokę w rozwoju i społecznem znaczeniu magnateryi. Już Władysław Jagiełło obdarza panów olbrzymiemi przestrzeniami w tej dzielnicy, mlekiem i miodem płynącej, a dalsza kolonizacya dziewiczych obszarów zradza fortuny, jakich Korona nigdy nie znała, a wraz z niemi nową formacyę postaci historycznych, tak zwanych królewiąt, o jednem z których będą śpiewali: „króla nie znasz, o rady nie dbasz, sam sobie sejmujesz!“ — wyrzeczenie, charakteryzujące ogół możnych panów tamtejszych. Z powstaniem królewiąt potęga pańska będzie wypływała nie z zajmowanego urzędu, tylko z posiadanego majątku. Magnat może odznaczać się, jak Radziwiłł Panie - Kochanku lub Starosta Kaniowski, rubaszną prostotą i być w obejściu swojem demokratą do szpiku kości i gorliwym wyznawcą równości szlacheckiej, a jednocześnie każdy brat-szlachcic będzie czuł i wiedział, iż jest to pan z panów. Z drugiej strony drogą naturalnego przyrostu ludności i podziału majątków, powstaje coraz liczniejsza szlachta zagonowa lub nawet odłamy zupełnie wywłaszczone z ziemi — *bene nati* jeszcze, ale już nie *possessionati*. Drobna szlachta siedziała nieraz na zagonach mniejszych, niż osady włościańskie w królewszczyznach, znajdowała się w zupełnej ciemnocie, nieświadoma interesów narodowych, a w nędzy swojej i niewykształceniu pocieszała się myślą, iż szlachcic na zagrodzie — równy wojewodzie. „Z kordem a boso, nago a w rękawicach“ — tak głosi o niej przysłowie podlaskie. Przesądy stanowe, znajdujące swój wyraz w uchwale, że szlachcic biorący się do łokcia i miarki, kala swój klejnot, zamykały tym żywiołom możność zarobku przemysłowego; wojsko i administracya państwowa niemal nie istniały, palestra dawała przytułek bardzo nieznacznej cząstce wydziedziczonych. Pozostawało jedno — poszukiwać łaski możnych panów..

„Magnatów można podzielić na trzy klasy, pisze już cytowany przez nas autor *Paradoksów*. Pierwsza z nich, przewódców czyli familij panujących, których jest cztery do pięciu. Drugą klasę stanowią mali despoci lub ci, których wysokie dostojeństwa lub znaczne majątki osłaniają od surowości prawa, a dają im środki bezkarnie uciskać sąsiadów, tych może być dwunastu. W trzeciej klasie stoją panowie, którym majątki lub urodzenie dozwalają pewną odgrywać rolę, ale podrzędną, pod zwierzchnictwem wodzów lub mniejszych despotów. Tych być może około sta.

„...Średnią szlachtę można podzielić na dwie klasy (opis dotyczy r. 1775). Pierwsza z nich składa się z osób, które nie mają dosyć majątku, ażeby własność nabyli, ale zajmują znaczne stanowiska i mają adwokatów. Tych jest 200—300. Druga klasa, właściwa średnia szlachta, składa się z 20—30 tysięcy ludzi, wszyscy dosyć zamożni, żyją po wsiach, myślą tylko o zbieraniu grosza, zwiększają liczbę klientów przy panach, popisują się na sejmach i cisną chłopów.

„...Drobna szlachta, której jest pewnie 1,300,000 (?), gromada ludzi bez majątku, niewykształcona, ograniczona, stworzona do służebnictwa przy panach, wierzy w *liberum veto*, złotą wolność i prawo szlacheckie.“

Jeszcze surowszy jest wyrok innego pisarza z tej samej epoki, autora *Horoskopu politycznego*, o drobnej szlachcie:

„Czego się możecie spodziewać po tej nędznej szlachcie, która tylko domom waszym lichej służby dostarcza? Służy on wam źle, dba tylko o to, aby się czegoś dorobić, drze was i zbogaca się waszym kosztem. Ci szlachcice ojczyzny nie mają, a mszczą się na chłopie za podłość, z jaką do nóg waszych padają. Męztwo im służy tylko do łupieży.“

Oba ustępy pochodzą z ostatnich czasów samodzielności kraju. Może w sposób przesadny, ale bądź co bądź zgodny z rzeczywistością, przedstawiają one ostatnie ogniwo dyalektyki naszego rozwoju. Do jej zasadniczych rysów należy ukazanie się „królewiąt“ na jednym biegunie życia społecznego, wywłaszczonych lub ubogich tłumów szlacheckich na drugim. Tym ostatnim, jakeśmy zaznaczyli, pozostawała jedyna droga wyjścia — trzymanie się klamki pańskiej. Przystawały one nawet na baty pańskie, byleby na kobiercu! Domy magnackie tworzą milicyę ze szlachty na wzór baronów średniowiecznej Europy, promują klientów swoich na urzędy ziemskie i nawet na wyższe dostojeństwa, utrzymują liczną służbę i rezydentów, oddają dobrze zasłużonym w dzierżawę lub na czynsz folwarczki i osady, słowem rozporządzają licznymi środkami zapłaty, w zamian za co żądają, azeby „przyjaciele,“ noszący barwę domu, głosowali według ich wskazówek. Królewięta polscy co do swojego faktycznego położenia moczom nie różnią się od udzielnych książąt Rzeszy niemieckiej po wojnie trzydziestoletniej: na swoją rękę przedsiębiorą wyprawy zaborcze i układają się z obcemi mocarstwami o losy kraju, posiadają własnych rezydentów przy obcych dworach i miewają wcześniejsze a lepsze informacye, niż monarcha, trzymają wojska i w formie zajazdów przywłaszczają cudzą ziemię lub wymierzają sobie „sprawiedliwość,“ dzierżą niemal dziedzicznie pewne dostojeństwa, a obwarowani dożywociem, rządzą swoim departamentem samowolnie, nie słuchając króla, nie dbając o sejm, w którym mają swoich jurgieltników, zrywających obrady tego ciała kongresowego. Natomiast szlachta uboższa w posiadanych prawach widzi środek korzystania z łaski pańskiej, tj. wyzysku, i zwolna zamienia się na gmin, żyjący, jak plebejusze Rzymu cezarystycznego, z frymarku swymi przywilejami politycznymi. Magnaci mają na ustach złotą wolność i *liberum veto*, są zaciekłymi „republikanami“ i rzecznikami równości, bo zasady te sprzyjają swobodnemu stosowaniu ich wpływów i intryg. Wyznają maksymy anarchii z tych samych powodów, z których plutokracya obecna tak broni zasady *laissez faire, laissez passer!* Zwalczane w okresie Jagiellonów i trzymające się urzędami możnowładztwo, dzięki powstaniu olbrzymich fortun, wyrosło w okresie elekcyjnym na pierwszorzędną potęgę społeczną, groźniejsze niż kiedykolwiek, posługujące się frazeologią równości i wolności, ażeby wśród anarchii tem snadniej wyzyskiwać sytuacyę i korzystać z wpływów, jakie im majątek zapewniał. Federalistyczny ustrój umożliwił jednym nieograniczoną potęgę, drugim—korzystną sprzedaż praw politycznych i nowe źródła zarobku, a wśród rozkiełzania organizacyi państwowej niemoc ogarniała ojczyznę. Wojny szwedzkie, pogromy kozackie i zagony tatarskie ubożą kraj, torują drogę prywacie rodowej, oswobodzonej od wszelkich hamulców, czasy saskie rozkiełznują wszystkie te siły jeszcze jako tako ukryte i szerzą powszechną demoralizacyę polityczną, stwarzając warunki dla ukazania się takich mężów stanu, jak Poniński i Branicki. Ale pamiętajmy, iż rozpasanie to nie jest dziełem pojedynczych osobistości, lecz tkwiło w całej dyalektyce rozwoju z czasów elekcyjnych. Ta ostatnia doprowadziła do tego, że kilka rodzin magnackich faktycznie rządziło krajem, a jego historya stała się historyą „familij.“ Władza centralna, uosobiona nie w rządzie, lecz w manekinie-królu, musi z nimi traktować jak z niezależnymi książętami, kupować ich łaski za pomocą dostojeństw i starostw, nawet ich spory wzajemne, idące pod decyzyę sądu sejmowego, są raczej załatwiane w sposób polubowny, niż według litery prawa. Magnaterya przywyka sprzedawać siebie królowi lub państwom ościennym a kupować uboższą szlachtę, obie zaś coraz bardziej tracą interes ogólny z oczu. Nastają czasy, posiadające wiele wspólnego z psychologią okresu tryumwiratów w Rzymie. Ale fortuny magnackie, acz olbrzymie, nie są przecież niewyczerpane. Odłużenie wzrasta, choć rozrzutność dawna pozostaje niezmienną, brak pieniędzy pcha na drogę coraz gorszą, aż wreszcie dojdzie do tego, iż zgorzkniały rezydent saski przy dworze Stanisława Augusta, Essen, będzie pisał: „Teraźniejsze panowanie moralnie podkopało i zniżyło znaczenie wielkich rodzin, więcej niż kiedykolwiek podupadłych. Ciągle niezadowolone, zazdrosne, rozdzielone, biegają za pensyami zagranicznych dworów, aby przeciw własnej pracować ojczyźnie.“

. . . .

Z wyjątkiem skutków wywozu zboża za granicę, nie mamy w kraju naszym w w. XV—XVIII owego parcia naprzód i kolejnej następczości coraz wydajniejszych sposobów produkcyi, jakie spostrzegamy w Europie zachodniej. Ale i ten przełom wywiera ostatecznie następstwa ujemne, bo niszczy wzrost miast, wzmaga potęgę szlachty i oddaje włościan pod jarzmo pańszczyzniane, zamykające wszelki postęp techniczny na roli. Swoją drogą, ażeby zrozumieć nasze dzieje, trzeba szukać do nich klucza w ukształtowaniu swojskich sił wytwórczych. Chwilami stanowczemi w rozwoju naszej historyi są wzrost produkcyi rolnej i zamiana kraju na dzielnicę eksportującą płody surowe, kolonizacya Rusi i pojawienie się tam olbrzymich fortun magnackich, wreszcie zubożenie tłumów szlacheckich. Życie nie stwarza ognisk przemysłu i handlu pod bokiem władzy centralnej i po za obrębem warstwy szlacheckiej, nie wiąże kraju siecią zależności ekonomicznej i podziału pracy, lecz poprzestaje na zrodzeniu wielu rozstrzelonych a niezależnych punktów powagi społecznej — dworów magnackich, otoczonych tak samo rozstrzelonymi punktami produkcyi rolnej i interesu prywatnego, ciążącymi do grupowania się dokoła dworów magnateryi. Wejście na tron dynastyj zagranicznych a obieranych umożliwia szlachcie stworzenie konstytucyi państwowej, która akurat odpowiada takiemu rozstrzeleniu, a ustawa ta— dzieło ducha naturalistycznego i separatyzmu — raz powstawszy, oddziaływa na swoje źródło, z skutku staje się przyczyną i udaremnia wszelką jednolitość państwowego planu. Jej zaczątki pojawiają się w okresie walki z możnowładztwem, a nawet stanowią spuściznę po epoce dzielnic, aż wreszcie konstytucya sejmowa czasów elekcyjnych i zwyczaj obierania monarchy rozkiełznują ostatecznie wszelkie spoidła jednolitości, zamieniają kraj pozornie

na federacyę województw, faktycznie zaś na federacyę familij magnackich i oddają rządy garstce potentatów ziemskich, rozporządzających głosami szlachty, szukającej na ich dworach środków utrzymania i karyery. W tym przeciągu czasu był jeden okres świadomości narodowej pomimo pokoju i dostatku — Zygmuntowski, ale siła jego częściowo pochodziła z zapożyczonych idej humanizmu europejskiego i zniknęła niebawem, ażeby ustąpić miejsca reakcyi, posługującej się Jezuitami i łaciną.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Jerzy Meredith: *The Egoist.*

R roku zeszłego obchodzono w Anglii jubileusz pięćdziesięcioletni pracy powieściopisarskiej Mereditha. Urodził się d. 25 lutego r. 1828. Wystąpił po raz pierwszy na widownię publiczną ze zbiorkiem poezyj, zatytułowanym *Poems* w r. 1850, poczem napisał fantazyę wschodnią p. t. „The Shaving of Shagpat" i niemiecką — *Farina*. Rzeczy te przeszły niepostrzeżone i dopiero powieść współczesna, traktująca sprawę wychowania *The Ordeal of Richard Feverel*, o której obszernie już w *Prawdzie* pisaliśmy, zwróciła na trzydziestoletniego wówczas (1858) pisarza powszechną uwagę. W r. 1862 Meredith wypuścił w świat nowy zbiór poezyj p. t. *Modern Love*. Jest to jeden z najbardziej osobistych utworów autora, a także jeden z najtrudniejszych dzięki subtelnej psychologii, w nim zawartej. Mamy tu męża, niegdyś rozkochanego w narzeczonej, który powoli ostyga w swych uczuciach ku niej, gdy się stała jego żoną; jest on zbyt dumny, by ukrywać przed sobą rozczarowanie, a zarazem zbyt skrupulatny, by szukać pocieszenia w innej miłości. Meredith występuje tu jako romantyk, który wyśmiewa uczucie. „Miłość nowożytna" zdaje się nie istnieć dla niego, jest zabitą przez analizę. Był to jednak nastrój chwilowy, gdyż w późniejszych swych poezyach pisze hymny na cześć uczucia i radości bytu *(The Joy of Earth)*. Tchną one wiarą głęboką i gorącą w „dobroć nieskończoną istoty rzeczy."

Wszystkie te poezye mają charakter czysto intelektualny i filozoficzny. Jakkolwiek Meredith pisał później głównie powieści, jest on jednak z natury swej poetą, a bynajmniej nie powieściopisarzem. Jest to człowiek o życiu wewnętrznem nadzwyczaj natężonem, który wszędzie na miejsce życia realnego podstawia swe wizye osobiste. Poezye jego zrywają zupełnie z wszelkiemi tradycyami angielskiemi w poszukiwaniu jakiegoś dziwnego i fantastycznego piękna, którego szuka na ścieżkach dla nikogo niedostępnych.

Oddawszy się później w zupełności powieściopisarstwu pozostał w niem poetą. Jest to tytan, który oszołomia, przykuwa, wyczerpuje. Osobowość jego na każdym kroku jest widoczną, tryska sarkazmem, szyderstwem, liryzmem, fantastycznością porównań i obrazów.

Meredith uważany jest za najlepszego z współczesnych malarzy kobiet angielskich. Daje istotnie wspaniałą galeryę typów niewieścich, silnych, delikatnych, dumnych, inteligentnych i złożonych. Ten realista nienawidzi wszystkiego, co liche i poziome. Wszystkie te cechy arystokratyzmu duchowego występują najlepiej w „Egoiście," tem arcydziele Mereditha. Wychowane w tchórzowstwie myśli i czynu, w nieznajomości siebie samych i mężczyzn, kobiety mają jednak instynkty przyrodzone odwagi i intuicyę, pozwalającą im odgadnąć wrogów. Taką naturą żywą, skrępowaną przez wychowanie, jest Klara Middleton. Zaręczyła się z sirem Willonghby'em, „Egoistą," bohaterem powieści, gdy była jeszcze nieświadomą kajdan, które na siebie kładła i gdy charakter jej nie był uformowany.

Willonghby jest despotą, ubóstwiającym siebie samego. Jest to jednak sentymentalny egoista, pozbawiony logiki i mocy prawdziwego tyrana. Klara, znudzona monotonnością jego rozmów miłosnych, staje się coraz bardziej przenikliwą i poznaje właściwą jego naturę. Spragniona wolności, musi jednak się liczyć z krępującem ją słowem i przychodzi wreszcie do jasnego poczucia, iż być uczciwą — znaczy znieważać i znieprawiać swój charakter.

Dowiedziawszy się, iż egoista był już przez inną odgadnięty i porzucony — gdyż poprzednia jego narzeczona śmiało uciekła z odważnym towarzyszem — Klara ogląda się za takim przyjacielem. Znajduje go w osobie Vernona Whitforda, który pobudza ją do buntu, każe jej poznać własne swe myśli i oprzeć się na stanowczej odwadze. Ale Klara początkowo sądzi, iż Vernon zbyt wiele od niej wymaga; samodzielność jej nie jest jeszcze dość wyrobioną. Zwraca się więc o pomoc moralną do innego przyjaciela „egoisty," do pułkownika de Craye, pięknego zdobywcy serc kobiecych, ale on się jej w końcu nie podoba, a głównie — nie wzbudza w niej szacunku.

Wszystko to odbywa się w pałacu sira Willonghby'a, który pobudzany zazdrością i dumą zranioną, używa najniezręczniejszych wybiegów, by zatrzymać Klarę, gdyż rozumie, z dawnego swego doświadczenia, że chciałaby uciec. Nie chce jej zwolnić z danego słowa i używa taktyki o tyle sztucznej, iż egoizm jego powoli się obnaża w całej swej ohydzie. Willonghby mianowicie już od lat dziesięciu uwodził za pomocą przebiegłej acz niewinnej z pozoru kokieteryi, córkę skromnego sąsiedniego farmera, Cecylię, ani myśląc się z nią żenić i hodując w niej tylko wielbicielkę, oczarowaną i ubóstwiającą. Teraz w obawie, iż Klara także mu się wymknie z rąk, ofiaruje ostrożnie, na wszelki wypadek, swe serce Cecylii, nie ostatecznie zresztą, bo jeżeli Klara z sieci jego wydobyć się nie potrafi, związana tradycyjnemi pojęciami honoru, to Cecylię porzuci; jeżeli natomiast Klara się wymknie, to się ożeni z tym kopciuszkiem. Klara dokonywa mistrzowskiego wyjaśnienia tej intrygi swem niezdecydowaniem i wymijającem tchórzostwem, które jest bierną, kobiecą samoobroną. „Egoista" jest zupełnie ośmieszony w oczach towarzystwa, które za całą tą akcyą uważnie śledzi i to jest największą dlań karą, gdyż rany zadane jego miłości własnej są dlań najboleśniejsze. Wreszcie nawet kopciuszek, Cecylia, widząc, jaką rolę jej przeznaczał, wyrzeka się go i dopiero po długich prośbach, naleganiach i błaganiach zgadza się być jego żoną. Meredith skazuje w ten sposób egoistę, nieuczynnego, niekonsekwentnego i sentymentalnego na bolesne samoukaranie, natomiast Klarę i Wernona bierze pod swoją opiekę, łącząc ich w stadło małżeńskie. Klara okazuje się wprawdzie słabą, sentymentalną kobietą, ale przynajmniej wewnętrzna jej przyroda kazała jej walczyć z przyszczepionem przez wychowanie tchórzostwem. Autor jest zdania, iż kobieta w obecnej fazie jej rozwoju jest niezdolną do życia samodzielnego i zupełnej swobody i że wymaga podpory.

„Egoista" jest najlepszą i najbardziej charakterystyczną powieścią Mereditha. Sir Willonghby, to typ i przedstawiciel samoluba angielskiego, z jego próżnością, zadowoleniem, pewnością siebie, śmieszną uroczystością, moralną obłudą, brakiem wyobraźni i poziomym pozytywizmem. Analiza psychologiczna bohatera odznacza się niesłychaną głębokością, to samo powiedzieć można o innych typach, zwłaszcza kobiecych. Oprócz tych, które powyżej wyliczyliśmy, znaczną rolę w powieści gra pani Monstuart Jenkinson, która panuje w świecie arystokratycznym siłą swojego dowcipu. Każde jej słowo, jeżeli nawet nie było prawdą, wrzynało się w pamięć ogółu i z salonów rozbiegało się po całem hrabstwie, które trzymała pod berłem żelaznem swego sarkazmu. Jedna kropla jadu z jej ust wystarczała, aby zabić czyjąś reputacyę. A była nieubłaganą nawet względem ludzi potężnych, jak Willonghby. Bogaty, piękny, grzeczny i szlachetny ten właściciel zamku podejmuje u siebie gości, którzy w rozmowach między sobą nie szczędzą mu pochwał, hymnów i panegiryków. „I oprócz tego—wsuwa pani Monstuart swe słówko w chór nadętych frazesów — zauważcie proszę, jakie on ma nogi." Nogi Willonghby miał istotnie piękne, ale frazes ten przypominał zdradziecko, iż właściciel ich był pawiem.

Zachowanie Willonghby'a tego dnia, gdy wylewały się nań potoki ubóstwiania, można było porównać ze spokojem bożków indyjskich, przyjmujących ukłony wierzących. Łatwiej jest wprawdzie być bałwanem drewnianym, niż żywym, ale sir Willonghby był na wysokości swego położenia. Będąc wychowany jak książę, wiedział, iż nie jest tem, czem są inni i dlatego umiał pozostać niewzruszonym w sytuacyi, która innego mogłaby przyprawić o zawrót głowy. Posiadał umiejętność zachowywania póz wyniosłych. Usłyszawszy od znajomych frazes pani Monstuart, uśmiechnął się i rzekł: „nogi moje są na jej rozkazy."

Romans Mereditha jest szeregiem sytuacyj, wyłożonych za pomocą dyalogów, zupełnie jak w dramatach. I osoby działające mają zupełnie tęż samą żywość niekonsekwentną. Nie są to typy ogólne, lecz jednostki o nader kapryśnem życiu intelektualnem. Powieści Mereditha przypominają dramat, a raczej komedyę, jeszcze tem, iż intryga jest w nich zwykle wysnutą nader misternie i gra rolę pierwszorzędną. Pod tym względem, jak również humorem, który jest u niego dygressyą, jak u Dickensa, Meredith przypomina tradycye powieści angielskiej. Różni się zaś od swych współtowarzyszów po piórze intencyami filozoficznemi i uczonem zepsuciem stylu. Pod tym względem wszyscy jednogłośnie uważają Mereditha za dekadenta. Ale w tem właśnie wyraża się oryginalność tej nader skomplikowanej natury. Meredith nie jest pisarzem dla tłumu publiczności czytającej, pomimo to może być uważanym za głównego przedstawiciela współczesnej powieści angielskiej, z którym rywalizować może chyba jeden tylko Tomasz Hardy.

Dr. L. Winiarski.

POEZYE

POCIĄG.

Idą, idą wagony coraz dalej a dalej,
Ciężko toczą się koła po dwóch szynach ze stali
Idą, idą wagony coraz prędzej a prędzej,
W dal unosząc tysiące ludzkich żalów i nędzy.
Od każdego istnienia, które kolej w dal żenie,
Jak złociste niteczki idą tęsknot promienie.
I od serca każdego, co uchodzi daleko,
Za kolei nasypem nitki żalu się wleką.
Gdyby każda z nich miała siłę nitki pajęczej,
Niktby z miejsca nie ruszył kół stalowych obręczy,

Gdyby wszystkie się splotły w jednym wielkim łańcuchu,
Niktby w szereg wagonów nie potrafił tchnąć ruchu.
W ziemię wrosłyby koła, zgasłby ogień w motorze...
Czemuż nitka tęsknoty tak bezsilna, mój Boże!
Idą, idą wagony coraz dalej a dalej,
Płyną nici tęsknoty na powietrznej, na fali,
Rwą się włókna cieniuchne, rozlatują po świecie,
Aż je kędyś w przestrzeni wiatr bez śladu rozmiecie.

PORĘBY.

Poręby
Nad lasu brzegiem
Jak ciche śpią cmentarzyska.
Słońce promieni snop ciska
Na pniaków zręby
I złotym haftuje ściegiem,
I krzesze iskier ogniska
W kropelkach rosy.
Tu wrzosy,
Kępy mietlicy,
Paprocie, kwiaty, jagody,
Poziomek ciche zaścianki
I grzybów rody.
Jak skromni drzew hołdownicy,
Pod cieniem pniów ściętych rosną,
Strojąc je latem i wiosną
W stubarwne wianki.
Polanki
W promieniach toną,
A sosen rzadkie kolumny
Krwawią się korą czerwoną
I kark swój prostują dumny
Nad traw zasłoną
I ponad czarnych pniów trumny,
Jak obeliski.
Po śliskiej,
Spalonej trawie,
Jaszczurka przemknie się czasem,
Spojrzy ciekawie;
Lub w głębi zielonej toni
Świerszcz piosnkę cichą zadzwoni
Pod wrzosów lasem,
Lub osa bez ruchu i rawie
W kwiatach zatonie.
Z traw wonie
Biją ku górze
Tak mocne, jak z kadzielnicy,
W olbrzymim przyrody tumie
Kadzideł kłęby.
Powietrze stoi nad światem
W czystym lazurze...
Ni wietrzyk nie trąci kwiatem
Lub źdźbłem mietlicy...
Tak śpią w zadumie
Poręby.

H. S.

SPRAWY EKONOMICZNE

SYNDYKAT WĘGLOWY NADREŃSKO-WESTFALSKI.

III.

W artykule poprzednim oświetliliśmy wpływ syndykatu na ceny węgla; okazało się, że ten „chleb powszedni przemysłu" podrożał niepomiernie, a podrożał wskutek świadomej celów polityki lichwiarskiej, jaką uprawia syndykat. Lecz nie na tem kończą się ekonomiczne skutki zorganizowania się właścicieli kopalń.

Wskutek zmowy pomiędzy właścicielami kopalń powstaje nowa potęga, z którą liczyć się musi cały przemysł; zarząd syndykatu staje się władzą, o której względy ubiegają się, do której zwracają się z petycyami, której schlebiają. Wystarczy przytoczyć kilka takich przykładów, a mamy ich pod ręką zapas obfity:

„Syndykat węglowy westfalsko-nadreński postanowił cofnąć od pierwszego kwietnia bonifikacyę, której wespół ze związkiem producentów surowca udzielał walcowniom. Uznano, że walcownie obecnie mogą i bez tej ulgi utrzymać się na rynku. W kołach przedsiębiorców przemysłu żelaznego panuje z tego powodu wielkie rozgoryczenie, twierdzą bowiem, że ten krok syndykatu węglowego tem mniej jest uzasadnionym w chwili, kiedy ceny węgla zostały przez syndykat od pierwszego kwietnia podwyższone, a przemysł żelazny musi opłacać materyał surowy niepomiernie drogo z powodu właśnie drożyzny węgla i koksu" (Notatka z *Berliner Tageblatt* z dnia 23 lutego 1899 roku).

Widzimy z tego przykładu, jak syndykat wpływa na położenie całych gałęzi przemysłu: Przyznaje on „bonifikacye." tj. oddaje taniej węgiel tym przedsiębiorstwom, które zdaniem jego należy z tych czy innych powodów popierać, a potem odbiera bonifikacyę według swego widzimisię. Takich przykładów możnaby przytoczyć więcej.

A oto przykład bezsilności różnych sfer interesowanych wobec potęgi syndykatu: *Koln. Volksztg* (organ partyi Centrum) donosi z miasta Barmen, jednego z ognisk przemysłu nad Renem pod datą 27 kwietnia 1900 roku: „Kwestya braku węgla była przedmiotem obrad na posiedzeniu izby handlowej. Jeszcze w połowie marca obradowano nad tą kwestyą; wtedy przewodniczący izby jeździł osobiście do Essen, aby porozumieć się z dyrekcyą syndykatu. Przyjęto go uprzejmie i wrócił pełen nadziei. A teraz? Na wczorajszem posiedzeniu panował nastrój bardzo pesymistyczny, gdyż okazało się, że niema zgoła wyjścia: żadne kroki do celów nie doprowadzą, gdyż syndykat jest korporacyą zbyt potężną i niedostępną dla żadnych wpływów... Na list przewodniczącego otrzymano odpowiedź lakoniczną, że zarząd syndykatu nie uznał za stosowne wejść w porozumienie z ludźmi, którzy dotąd nie należeli do odbiorców bezpośrednich; co się zaś tyczy cen, to w porze obecnej nie należy liczyć na zniżkę... Zgromadzenie izby powzięło uchwałę, aby uczynić kroki odpowiednie zbiorowo z innemi izbami handlowemi nad Renem, wyrażano wszakże obawy, że i to do niczego nie doprowadzi, gdyż syndykat jest wszechpotężnym."

Komentarze są tu zbyteczne: Izby handlowe są urzędowem przedstawicielstwem interesów handlu i przemysłu; podają one petycye do syndykatu jak do jakiejś władzy i niczego dobić się nie mogą. To wystarcza za dowód, że syndykat faktycznie stanowi państwo w państwie, jest potęgą groźną i niezależną, a konsekwencye tego są jasne.

Rozprawiano wiele o wpływie syndykatów na przebieg koncentracyi w przemyśle i kwestya ta istotnie jest ze wszech miar ciekawą i doniosłą. Sarter w przytoczonej pracy o historyi syndykatu węglowego, wypowiada pogląd, że jednem z zadań syndykatu jest „zachować od zagłady przedsiębiorstwa ekonomicznie słabsze." Istotnie, podwyższenie cen prowadzi do zwiększenia zysków, a zatem przedsiębiorstwa, źle ufundowane albo zbyt drobne, którym groziła ruina przy wolnem współzawodnictwie, teraz mogą istnieć dalej pod skrzydłami syndykatu, który zapewnia zbyt ich produktom po wysokiej cenie. Tenże autor wszelako wskazuje i rozbieżność interesów tych dwu typów przedsiębiorstw: jedne i drugie są zainteresowane w możliwem rozszerzeniu produkcyi; gdy jednak syndykat wprowadza ograniczenie, to drobne przedsiębiorstwo może być bardzo dotkliwie poszkodowanem. Jeżeli np. drobne przedsiębiorstwo dla powiększenia swojej produkcyi zakupiło maszyny ze znacznym nakładem kapitału, to stawia ono wszystko na jedną kartę, i jeżeli nakażą mu w następnym roku zmniejszenie produkcyi, łatwo może ponieść szwank; wielkie zaś przedsiębiorstwo łacniej może wytrzymać takie straty chwilowe. W praktyce okazało się, że co rok wewnątrz syndykatu odbywa się znaczna ilość fuzyi większych przedsiębiorstw z drobnemi. W ostatniem np. sprawozdaniu syndykatu wspomina się o zakupieniu dziewięciu mniejszych kopalni przez większe. Zauważyć też należy, że takie operacye stają się nader ułatwionemi, skoro wielkie przedsiębiorstwo ma dzięki syndykatowi zapewniony odbyt, nie ponosi więc żadnego ryzyka zakupując mniejsze kopalnie.

Lecz nietylko śród złączonych w syndykat przedsiębiorstw zauważyć się daje tendencya wyraźna do koncentracyi: syndykat bezpośrednio wywołał koncentracyę w innym jeszcze kierunku. Z chwilą bowiem kiedy ujawniło się dążenie do nadmiernego podwyższenia cen węgla, wielkie przedsiębiorstwa, zwłaszcza w przemyśle żelaznym, zużywające ogromne ilości węgla, musiały dążyć do wyzwolenia się z pod dyktatury syndykatu i poczęły zakupywać kopalnie, aby zapewnić sobie potrzebną ilość materyału opałowego. Oczywiście tylko bardzo wielkie przedsiębiorstwa były w stanie zdobyć się na taki krok; jednocześnie wzrosła ich sprawność ekonomiczna w porównaniu z mniej uposażonymi współzawodnikami, zostającymi nadal w zależności od syndykatu, który ściąga z nich haracz bez skrupułów.

Obrońcy syndykatu zapewniają jeszcze, że jakiekolwiek byłyby wpływy ujemne syndykatu, to przecież zostają one zrównoważone przez dobroczynny wpływ, jaki on wywrzeć może, przeciwdziałając przesileniu. Jest to jeden z przewrotnych sofizmatów, opartych na wnioskowaniu gołosłownem. Rozumowanie jest tutaj takie: syndykat normuje produkcyę węgla; produkcya węgla jest podstawą ogólnej produkcyi, syndykat wywiera tedy wpływ na przebieg ogólnego procesu wytwórczego. Błąd całego rozumowania polega na niedokładnem użyciu wyrazu „normuje." Skądże syndykat miał możność podwyższenia cen? Nie mógł przecież rozkazać, aby popyt na węgiel wzrósł. Wyzyskał on jedynie konjunkturę ekonomiczną, która poczęła być nader pomyślną wkrótce po zawiązaniu syndykatu. Popyt na węgiel wzrastał szybko wskutek niebywałego rozwoju produkcyi i zarząd syndykatu uczynił wszystko, co mógł, aby z takiego obrotu rzeczy wyciągnąć korzyści możliwe dla swoich klientów. Kiedy nastąpi zmiana konjunktury, będzie on mógł najwyżej obliczyć, o ile zmniejszył się popyt i o ile należy ograniczyć produkcyę, aby nie być zmuszonym do sprzedawania towaru poniżej kosztów. Wten sposób przedsiębiorstwa kopalniane będą uchronione od strat niepomiernych i bankructwa, zmniejszą się tylko zyski, zniżą dywidendy, spadnie kurs akcyj. Lecz upatrywać w tem zbawienie „górnictwa krajowego" mogą tylko ci, dla których interes górnictwa utożsamia się z interesem przedsiębiorcy. Zmniejszenie produkcyi oznacza to samo, co pozbawienie zarobku dziesiątków tysięcy robotników, a dla tych nieszczęśliwych najzupełniej może być obojętnem, czy zostaną wyrzuceni na bruk z powodu zbankrutowania przedsiębiorstwa, czy z innych względów. Oni bowiem nie zarobili i tyle w czasie pomyślnej konjunktury, aby mogli przeczekać lata zastoju. Powstrzymać zaś kryzysu syndykat nie może żadną miarą. Cóż bowiem mógłby uczynić w tym celu? Zmniejszyć produkcyę wtedy jeszcze, kiedy popyt na węgiel pozostaje wielkim? To pociągnęłoby za sobą niechybnie straszne przesilenie! Zakłady bowiem przemysłowe zastosowały się do konjunktury, powiększały produkcyę, wprowadzały ulepszenia techniczne, powiększały zapas

materyałów surowych: brak węgla spowodowałby zatem ubezwładnienie nagłe tego kapitału, stąd bankructwa, niewypłacalności — słowem, kryzys. Nie, jakkolwiek syndykat jest bardzo potężnym, gdy chodzi o wyzysk spożywców, nie ma on możności zapobiedz lub nawet przeciwdziałać tylko klęsce społecznej, jaką jest kryzys.

* *

Jeżeli zapytamy teraz, jakie wnioski wyciągnąć można dla powstać mogącego syndykatu węglowego u nas, to, chcąc otrzymać odpowiedź zupełnie naukowo uzasadnioną, należałoby porównać dokładnie warunki naszego przemysłu górniczego z westfalskim i na tej zasadzie dopiero wprowadzić do obrachunku nowe czynniki i dane. To wszakże przekracza ramy niniejszego artykułu. Możemy tylko zaznaczyć pewne analogie w ogólnych zarysach.

Przypuszczenie, że producenci węgla u nas użyliby, na wzór westfalskich, potęgi, jaką daje zorganizowanie, aby podnieść znacznie ceny węgla, nabiera wielkiego prawdopodobieństwa. Mieliby oni możność po temu tem większą, że faktycznie posiadają monopol na rynku Królestwa, dopóki istnieje cło wwozowe na węgiel szląski. „Polityki zewnętrznej“ na wzór syndykatu westfalskiego syndykat dąbrowiecki uprawiać by nie mógł, lecz i tu powstałaby zapewne tendencya do opanowania dalszych rynków i poczętoby niebawem pokrywać niedobory przy sprzedaży węgla w kraju Północno-Zachodnim i Południowo-Zachodnim kosztem konsumentów w Warszawie i Łodzi. Niewątpliwie też powtórzyłoby się u nas zjawisko koncentracyi wywołanej przez syndykat: potentaci przemysłu bardzo prędko zrozumieją, jakie korzyści da im zakupienie kopalni dla własnego użytku, drobni zaś płaciliby wobec tego podwójny haracz, nałożony na nich przez syndykat.

Przyznać należy, że są to widoki niewesołe dla spożywców węgla. W jaki zaś sposób prawodawca mógłby zapobiedz podobnym skutkom, przyznajemy — nie wiemy. Byłoby zadaniem obrońców idei syndykatu wskazać takie środki, a wtedy możnaby o nich dyskutować *).

Dr. J. B. Marchlewski.

---

*) Jako ciekawy przyczynek do niniejszego artykułu przytaczamy wyjątek z listu, zamieszczonego w jednym z ostatnich numerów *Frankfurter Ztg.*:

„W nr. 145 pańskiego pisma znalazłem artykuł „o skargach przeciwko syndykatom i monopolom.“ Dziwi mnie, że autor powstając z zupełną słusznością przeciwko związkowi niemieckich fabrykantów łańcuchów i syndykatowi papierowemu, nie wymienia najgorszego z syndykatów — węglowego. Wiadomo przecie, że przemysłowcy nadreńscy i westfalscy zostali ciężko poszkodowani przez syndykat węglowy, albowiem 1) nie mogą otrzymać od syndykatu potrzebnej dla ich przedsiębiorstw *ilości* węgla; 2) otrzymują od syndykatu nie te *gatunki* węgla, które uważają za najwłaściwsze dla rodzaju swoich przedsiębiorstw; 3) jeżeli z tego powodu skarżą się publicznie, to są narażeni na to, że nie dostaną więcej *ani kawałka węgla*; 4) jeżeli dokupują węgiel z kopalń, nienależących do syndykatu, to pozbawieni są zupełnie możności nabywania węgla od syndykatu, a więc zmuszeni są do kupowania od pośredników za wysoką cenę; 5) dzięki syndykatowi ceny węgla z roku na rok niepomiernie wzrastają. Dziś np. zmuszony jestem płacić kopalni za węgiel, którego gatunek wcale nie odpowiada wymaganiom mojego przedsiębiorstwa — 110 marek; w r. 1894 zaś płaciłem w innej kopalni za daleko lepszy węgiel 65 m. Na zapytanie, czy mogę prosić o inny gatunek węgla, otrzymałem odpowiedź: „Nie posiadamy innych gatunków.“ Dzięki temu zmuszony jestem ku wielkiej szkodzie mojej i moich robotników (pracujących na akord) niekiedy całemi godzinami czekać cierpliwie, aż w kotłach parowych zbierze się dostateczna ilość pary. Lepsze gatunki węgla idą po większej części za granicę, a w dodatku rząd popiera wywóz węgla za pomocą zniżonych taryf kolejowych! Pomimo wzrostu zapotrzebowania w porównaniu z poprzedniemi latami wywóz wzmaga się, dzięki czemu mamy stały brak węgla, a co za tem idzie — wysokie ceny. Ponieważ syndykat na wielokrotne moje prośby o dostarczanie mi większej ilości węgla pozostał głuchym, zmuszony jestem od 3 miesięcy dokupywać węgiel od pośredników po cenie 180 marek. W sprawie podrożenia węgla cała wina spada na syndykat i po części na przekupniów, którzy oczywiście wyzyskują wszelką okoliczność na swoją korzyść.“ (*Przyp. red.*).

W DALI.

Petersburg. *Now. Wr.* pisze, co następuje: „Przed kilkoma laty naczelnik miasta Petersburga wydał rozporządzenie, nakładające na stróżów obowiązki policyjne tudzież włączające przepisy sanitarne do postanowienia obowiązkowego, wydanego przezeń na podstawie ustawy o środkach zabezpieczenia porządku państwowego i spokoju publicznego. Dawny głowa miasta rozporządzenie to w r. 1896 zaskarżył do senatu. Obecnie zarząd miejski otrzymał ukaz senatu, opiewający, iż: Ustawa miejska ściśle określa zakres samorządu miejskiego, lecz nie wspomina, ażeby do zarządu miejskiego należała opieka nad właścicielami domów i przedstawicielstwo ich wobec władz rządowych, wskutek czego skarga głowy miasta na rozporządzenie, nakładające na stróżów obowiązki policyjne, została przez senat odrzucona. Co się zaś tyczy włączenia przepisów sanitarnych do postanowienia obowiązkowego, wydanego przez naczelnika miasta na zasadzie ustawy o środkach zabezpieczenia porządku państwowego, to jakkolwiek zarządzenia sanitarne władzy administracyjnej nie wynikają z ustawy rzeczonej, w danym przecież przypadku przepisy sanitarne włączono na zasadzie najpoddańszego referatu ministra spraw wewnętrznych, Najwyżej uwzględnionego, wobec czego i druga skarga głowy miasta pozostawiona została przez senat bez skutku. Zarząd miejski, składając radzie miejskiej ukaz senatu zaznaczył, iż wystąpi z najpoddańszą skargą na orzeczenie senatu.“ — *Petersb. Wied.* donoszą, że wkrótce ma być zwołana narada przedstawicieli ministeryów komunikacyi i skarbu, tudzież instytucyi Cesarzowej Maryi, celem ostatecznego rozstrzygnięcia projektu opłaty dobroczynnej na korzyść rzeczonych instytucyj od biletów wejścia na dworce kolejowe, które to bilety mają być wykupywane przez osoby, odprowadzające podróżnych lub przybywające na ich spotkanie.

KRONIKA.

— Od 7 do 11 b. m. bawił w Warszawie J. K. M. Szach perski, Muzaffer-ed-din.

Wiadomości społeczne. W oddziale lasów rosyjskich na wystawie w Paryżu urządzono biuro, do którego mogą się zwracać z żądaniem kupcy zagraniczni i z zaofiarowaniem właściciele lasów w Rosyi, pragnący sprzedać lasy.

— Mają być wkrótce puszczone w obieg nowe banknoty 50-rublowe z portretem Cesarza Mikołaja I-go.

Szkoły. Z rozporządzenia ministeryum oświaty kobiety-lekarki mogą pełnić obowiązki lekarzy przy gimnazyach i progimnazyach żeńskich z prawami służby rządowej, ale bez otrzymywania rang i orderów.

— Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawy dla szkół handlowych w Warszawie i Radomiu. Pierwszą ma utrzymywać kupiectwo warszawskie, drugą — p. Lorenc. Kurs 7-letni oprócz klasy wstępnej. Program obu szkół obejmuje: religię, język rosyjski i literaturę rosyjską, języki: polski, niemiecki i francuski, historyę, geografię, matematykę, przyrodoznawstwo, fizykę, arytmetykę handlową, buchalteryę, korespondencyę handlową w językach rosyjskim, polskim i obcych, ekonomię polityczną, historyę handlu, prawoznawstwo, chemię i towaroznawstwo z technologią, geografię handlową, a nadto rysunki, kaligrafię i gimnastykę. *Uwaga I.* Język polski tudzież korespondencya handlowa w języku polskim nie są obowiązkowe dla osób, które nie zechcą się ich uczyć. *Uwaga II.* Język angielski, stenografia i śpiew, jako przedmioty nieobowiązkowe, mogą być wykładane osobom, które sobie tego życzą, za osobną opłatą. — Uczniów-Żydów szkoła przyjmuje w stosunku 40% ogólnej liczby uczniów. W służbie wojskowej szkoła daje takie same prawa, jak szkoły realne.

Ruch kobiecy. W Stanach Zjednoczonych w ministeryum finansów pracują niewidome kobiety przy maszynach do pisania. Próba tegoroczna dała tak doskonałe rezultaty, że postanowiono w przyszłym roku przyjąć większą ilość. Pracują zarówno pod dyktando, jak i przy kopiowaniu. Przykład godny naśladowania.

— W Wiedniu profesorowie uniwersytetu zorganizowali stowarzyszenie „Ateneum,“ które będzie krzewiło wyższą oświatę śród kobiet. (Główny inicyator prof. Ludo Hartmann, historyk).

— Panna Schreiber miała w Berlinie odczyt na temat „Robotnica-matka.“ Występowała przeciwko ograniczeniu pracy kobiet w fabryce, co przedewszystkiem wywoła silniejszy ruch w zakresie pracy domowej (Heimarbeit), rozwielmożnienie się konkubinatu, większą zależność kobiety od mężczyzny, załamuje dążenie kobiety do rozwoju politycznego i umysłowego. Natomiast prelegentka przypomniała rozprawy ostatniego kongresu ochrony pracy 1897 r., który zalecił: 44-godzinną pracę kobiet tygodniowo, 8 tygodniowy urlop za zwykłem wynagrodzeniem dla kobiet ciężarnych. Prócz tego domaga się panna Schreiber: poważniejszej opieki nad położnicami w okresie rekonwalescencyi, specyalnego wynagrodzenia matek karmiących niemowlęta swoje, wydzielanie tymże mleka w stanie doskonałej sterylizacyi dla dzieci, żłobków i przytułków dla dzieci w czasie zajęcia matki, utrzymywanych przez państwo; schronień dla położnic, szczególnie dla niezamożnych; przytułków dla dzieci na wypadek choroby albo nieszczęścia matki; surowego nadzoru nad pracą domową oraz inspektoratu fabrycznego żeńskiego. Słowem: *une mer à boire!*

— W Wiedniu utworzył się pierwszy „Klub kobiet,“ liczący 300 członków.

Karty pobytu. Główny zarząd poczt i telegrafów zawiadomił wszystkie urzędy pocztowe, iż celem ułatwienia osobom zamieszkałym po za miejscowością, w której są zapisane do ksiąg ludności otrzymywania paszportów, ministeryum spraw wewnętrznych postanowiło przyjmować na poczcie bez opłaty należności za wagę zwykłe listy zamknięte, zawierające karty pobytu, wydane przez właściwe instytucye i opatrzone ich pieczęcią. Instytucyami temi są: zarządy gminne, miejskie i rzemieślnicze, a gdzie zarządów takich niema, władze spełniające czynności zarządów miejskich i rzemieślniczych. Na listach obowiązkowo powinien znajdować się napis: „zawiera kartę pobytu.“ Wspomniane listy zarządów miejskich i rzemieślniczych, oraz zastępujących je instytucyj, korzystają z bezpłatnej przesyłki pocztowej jedynie w tym wypadku, jeżeli adresowane są do władz policyjnych.

Przemysł i handel. Na dalekim Wschodzie powstaje „Rosyjsko-wschodnie Towarzystwo handlowe,“ którego zadaniem będzie zbyt fabrykatów rosyjskich w Japonii, Chinach i Korei, jak również rozpowszechnienie produktów tych państw w Rosyi. (*Now. Wr.*).

Wystawy i zjazdy. W Warszawie odbyły się dwa zjazdy: leśniczych i przedstawicieli kolei żelaznych. Na obu roztrząsano dość ważne sprawy dotyczące ulepszeń w gospodarce. Na zjeździe leśniczych między innemi uchwalono: Przy zaopatrywaniu leśnictw w nasiona, przeważnie gatunków iglastych, napotyka się trudność głównie w zbieraniu szyszek. Ażeby ją usunąć, zjazd zaproponował: 1) zachęcać całą ludność włościańską do czynniejszego udziału w tej sprawie, w wykonaniu czego, na początek, sposobem próby, przyznać włościanom, dostarczającym szyszek i nasion, niektóre ulgi przy nabywaniu przez nich drzewa oraz przetworów leśnych, a mianowicie oprócz ustanowionej w leśnictwach zapłaty za zebranie odpowiedniej ilości nasienia lub szyszek, dozwolić im materyał drzewny lub inne przetwory leśne nabywać nie drogą współzawodnictwa, ale po cenach

gospodarczych, w razie zaś konieczności według taksy, ale kierując się w tym względzie nakładem pracy, zużytej przez włościan na zbieranie nasion; 2) otrzymywanie nasion w leśnictwach prowadzić sposobem gospodarczym: a) w suszarniach leśnych, gdzie będą one założone, b) przy pomocy straży leśnej przez suszenie nasion na słońcu (dla miejscowości zanadto oddalonych od suszarni leśnych, ażeby przez to uniknąć wydatków na dostawę szyszek) i w tym celu zaopatrzyć straż w suszarnie słoneczne z funduszów czerpanych z kaucyi kupców leśnych i 3) dozwolić leśniczym tam, gdzie w bliskości obrębów leśnych skarbowych znajdują się prywatne suszarnie nasion, na zamianę zebranych w lasach skarbowych szyszek na nasiona sośniny, na warunkach wzajemnie dogodnych, przez leśniczych ustanawianych. Na zjeździe kolejowym postanowiono zniżyć opłaty za tak zwane plackarty.

— Artyście warszawskiemu, p. K. Krzyżanowskiemu, władza udzieliła zezwolenia na otwarcie w Kaliszu wystawy stałej dzieł sztuk pięknych.

— W r. 1901 odbędzie się w Petersburgu wszechrosyjska wystawa drobnego przemysłu oraz zjazd działaczów na tem polu. Dla organizacyi wystawy i zjazdu utworzono osobny komitet.

Sprawy ekonomiczne. Według obliczeń niemieckiego związku cukrowników, w r. b. w Rosyi obsiano burakami 548,796 hektarów (na 269 cukrowni), w Niemczech 441,328 hekt. (na 399 cukr.), w Austryi 339,600 h. (na 213 cukr.), we Francyi 277,974 hekt (na 339 cukr.), w Belgii 68,850 hekt. (na 109 cukr.).

Zmarli. Edmund Dylewski (ur. 1859 w Siedlcach), jeden z najzdolniejszych obrońców warszawskich i miłośnik dawnego prawa polskiego w palestrze naszej. Prócz wielu drobnych rozprawek, które drukował w *Tygodniu* piotrkowskim, *Nowinach*, i *Gazecie sądowej*, ogłosił monografię medalową z czasów studenckich o Modrzewskim, jako politycznym pisarzu epoki reformacyi (po ros.) oraz rozprawę „O podziale historyi prawa polskiego na okresy“ (*Gazeta sądowa* 1890). Zmarły był ulubionym uczniem prof. Pawińskiego i przez długie lata pełnił obowiązki jego sekretarza w Archiwum głównem akt dawnych.

Odpowiedzi Redakcyi.

K. T. Zwykłe, szare rymy, z domieszką pozy Najlepszy „Swit,“ bo najprostszy. Do zwrotu.

J. R. List Pański spóźniony, gdyż w ostatnich numerach zamieściliśmy dwa artykuły, poświęcone tej sprawie.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Іюня 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.